

KUŹNICA

M. B. P. W. 1945

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena zł 5.

„My nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom“.

Ludwik Waryński

Rok I

Łódź, 11 listopada 1945 r.

Kr II

PAWEŁ FLORCZYK

Ciemnogród szturmuje

Sprawa demokratyzacji oświaty, sprawa reformy szkolnej niepokoi niejedną zaścianek wstecznicztwa. Milczało się do czasu, ale gdy tylko sztaby generalne ekshibicjonizmu i ekshibicjonistów, przebranych potulnie w demokratyczne liberie, uznały, że moment dojrzał, ruszono do ataku. Uchyłono rąbka demokratycznego przebrania, — wyjrzała bigoteria i dewocja, zakłamanie i nieprzejednana nienawiść do nowej Ludowej Polski.

Hasła upowszechnienia kultury, oświaty dla wszystkich nie odważy się nikt atakować dziś jawnie. Zastosowano więc chwyt zamaskowania, ciosy zza węgła.

Cóż, kiedy chybiło. Nie udało się i nie uda.

Warto przypieczętować in flagranti główny kierunek natarcia, czoło reakcyjnego taranu. To zaszczytne miejsce zajmuje redakcja krakowskiego „Tygodnika Powszechnego”. W trzech kolejnych numerach z września (nr 26, 27 i 28) „Tygodnik” rozwija swój własny program „oświatowy”. W rekordowo późnym sprawozdaniu z czerwcowego zjazdu oświatowego w Łodzi redakcja próbuje w perfidny sposób wygrać pewne charakterystyczne akcenty. Projekt reformy szkolnej wysunięty przez Ministerstwo Oświaty na zjeździe „Tygodnik” mianuje z podziwem godnym uporem — „projektem ministra Skrzyszewskiego”. Stare wypróbowane chwytliwy! Próbuje się zasugerować czytelnikowi diametralną jakoby różnicę między stanowiskiem Ministerstwa a Z. N. P., próbuje się podburzyć Z. N. P. przeciwko pracom Ministerstwa a jednocześnie podważać powagę łódzkiego zjazdu.

685 uczestników, w tej liczbie najpoważniejsi teoretycy i praktycy naszej pedagogiki, to dla redakcji „Tygodnika” zespół „niepowołany”, „statysty i bierni widzowie”. Rzeczowa i gorąca na wysokim poziomie utrzymana dyskusja to — „atmosfera tłumy”.

Zjazd przekształcił się na zgodną demonstrację rodzącej się na odcinku oświaty jedności narodowej, zjazd stał się zwycięstwem demokratycznej koncepcji reformy szkolnej. Tę reakcją nie może przeboleć. To wylazi jak przysłowiowe sztydo z worka, gdy „Tygodnik” wytacza taką budującą maksymę: „Polityczni (działacze oświatowi) są całkowicie zbędni na takim zjeździe”. Oto, co boli naprawdę — zgodna współpraca czterech stronictw demokratycznych (PSL znajdował się w czerwcu jeszcze w okresie inkubacji), ich szczerze demokratyczna postawa, ich wola demokratyzowania oświaty!

Ta sama jezuicka moralność przeciera z próby podsunięcia wręcz fałszywej interpretacji słów, które padły z trybuny zjazdowej. Jasne i niedwuznaczne stwierdzenie, że w szkole polskiej nie ma miejsca dla nauczyciela-faszysty. „Tygodnik” komentuje jako zapowiedź finansowego premiowania demokratycznych przekonań. Perfidia jest odwieczną bronią wstecznicztwa. Wytrych potwarzy wyniesiony do godności rodowego herbu zdobył już niejednego klan polskiego Ciemnogródu. Nie dziwiły się. Nie oburzamy. Po prostu — pogwarzamy.

I nie o to przecież chodzi. Jątrzenie, mączenie, podbechtywanie — to praktyki nie nowe. I źródła ich nie zmieniły się, — to ten sam paniczny lęk przed odmianą, przed falą czystego powietrza, przed wypełnieniem chwastów krzywdy. To stara piosenka. Tym razem nie o „Przedmurzu chrześcijaństwa” i „wschodnim barbarzyństwie”, lecz — dla odmiany — o „wychowaniu polskiej młodzieży w duchu utrzymania tradycyjnych związków z kręgiem wiary, etyki i kultury zachodnio-chrześcijańskiej” (kultury „zachodnio-pogańskiej” a propos nie znamy dotąd).

Dano sygnał do ataku, — trzeba rozkruszyć cegła po cegle mury demokratycznej oświaty. A że jej kamieniem węgielnym jest przymus szkolny, więc „Tygodnik” podważa jego istotę i sens. Jakoby w trosce o oświatę ludu wykonywano taką znakomitą jego realizację: zamiast 8-letniej szkoły obowiązkowej dla młodzieży wiejskiej podsuwa się „po ukończeniu 5-letniej nauki t. zw. nauk dopełniającej”; od 1 listopada do 30 kwietnia, aż całe sześć miesięcy w roku. Obywatel Jan Lubowiecki, autor tego projektu, nie pofatygował się nawet wytłumaczyć, czy to zimowe nauczanie miałoby trwać przez 1, 2 czy przez 3 cykle roczne. Natomiast, wysuwając tę koncepcję, stwierdził niedwuznacznie, że 12-letnie dziecko chłopskie powinno w sezonie — od maja po październik — pracować, a nie balałmucić się jakąś tam nauką w upowszechnionym gimnazjum. Więcej, — autor ma tę smutną odwagę, że stwierdza bez obłonek: „Po ukończeniu takiej nauki młodzież mogłaby wstępować do średnich szkół... gdyby miała do tego warunki. Reszta na tym by kończyła swoje — wystarczające, jak widać — wykształcenie”. Mówiąc krótko: autor proponuje utworzenie szkoły dla kulaków i 5-letnich szkół lek dla dzieci bezrolnych i małorolnych, które przeciw owoych „warunków” mieć nie będą. Co tu bardziej podziwiać — szczerłość czy cynizm?

Demokracja, która zwyciężyła w walce z najeźdźcą hitlerowskim, demokracja, która buduje nową Polskę, demokracja, którą — wbrew „Tygodnikowi”, na przekór jego utajonym mocodawcom, ugruntujemy, stawia sobie za zadanie zniwelowanie tych przerostów, uniezależnienie nauki dziecka od zamożności ojca, wiedzy — od pieniądza, zrównanie startu oświatowego wszystkich dzieci w Polsce.

Wyluskaliśmy tedy jeden punkt „oświatowe-

go” programu „Tygodnika”, — 5-letnia szkołka początkowa dla ogromnej większości dzieci wsi.

A dla miasta?

Na to pytanie odpowiada ob. K. Krobicki w art.: „Szkoła powszechna i średnia”. Pomijamy długi wywód, podsuwający stanowisko ZNP przedłużonej, do lat ośmiu szkoły powszechnej początkowej; wniosek autora brzmi: 6-letnia szkoła powszechna dla mas plus 6-letnie gimnazjum „dla umysłowej elity społeczeństwa, dla jego przewodników i kierowników”. Ten znany jak zły szeląg język polskiego wyznawcy teorii elit Pareto nie wymaga komentarzy, — aż nadto dobrze wiemy, że „umysłowa elita społeczeństwa” to ci, którzy „mają warunki” czyli w przekładzie na język polskiej rzeczywistości to dzieci kulaków i spekulantów. Oto kogo nam kształcić należy według zaleceń „Tygodnika”.

Mamy więc punkt drugi programu: 6-letnia szkoła powszechna dla miast i 6-letnie gimnazjum „dla elity”.

Do całości obrazu brak nam ostatniego rysu — stwierdzenia, że sprawa główną i decydującą, że tabu naszej kultury jest właśnie to upragnione przez „Tygodnik”, oparte na „kulturze zachodnio-europejskiej”, odgródzone chińskim murem „warunków” od „motłochu”, 6-letnie gimnazjum dla „elity” spekulacko-kulackiej.

Nr 26 „Tygodnika” z artykułem ob. M. Tabzira uzupełnia i pod tym względem obraz. Autor — mimo swej pozornie demokratycznej terminologii — staje całkowicie w obronie istniejącego gimnazjum i liceum, tych szkół, kształcących znikomą mniejszość młodzieży. Kunsztownym wywodem autor poprzedza wymowny sam w sobie wniosek: „nie wolno nam obcinać... szkoły średniej”. Rozbudowa szkoły jednolitej, przekreślenie klasowej struktury systemu szkolnego to — zamach na „dobro narodu”, to „niszczenie podstaw, z których tryska źródła kultury”. Toż to argumenty z nie dawnej przeszłości, — przez ileż to lat gasiciele oświaty szermowali u nas tymi hasłami? Przez ileż to lat wrogowie postępu, przysięgli sojusznicy ciemnoty, wspierali te wytarte licznym dodatkowo straszakiem bolszewizmu?

Obraz systemu oświatowego „demokratów” z „Tygodnika” mamy zatem w całej okazałości: 5-letnia szkołka dla wsi, 6-letnia dla miast i nietykalne 6-letnie gimnazjum dla elity. W języku życia znaczy to: usankcjonowanie krzywdy klasowej na odcinku oświaty, odepchnięcie dzieci chłopskich od wiedzy, robotniczych — od szkoły średniej, a jednych i drugich — od tworzenia kultury i od rządzenia państwem w przyszłości, zahamowanie narodzin nowej ludowej inteligencji.

Poprzez pozornie demokratyczne argumenty i pseudo-objektywne stwierdzenia polemicznych artykułów „Tygodnika” przegłąda paniczny lęk przed „masą, która po raz pierwszy w historii dochodzi do głosu na tak olbrzymią skalę”, przegłąda niepojętą nienawiść do reform, które przeorały nasze życie w ciągu tego roku 1944-45, dając nam — obok wolności zewnętrznej — możliwość zrzucenia okupacji wewnętrznej: władzy ziemiaństwa i finansjery.

Na tym ile tym dziwniej wygląda niedwuznaczne i wielokrotne, zupełnie jawne przez „Tygodnik” uprawiane kokietowanie i ZNP i prezesa Maja i ministra Wycecha. Przemówienie Maja jest w oczach laskawców z „Tygodnika” — „pełne siły i swady oratorskiej”. O ministrze Wycechu organ Ciemnogródu pisze przymilnie: „Na szczęście zarządzenia ministra Wycecha hamują rewolucyjne zamierzenia reformatorskie”. ZNP, jego prezes i wiceprezes — pupilami klerikalno-reakcyjnych rycerzy Ciemnogródu! Winiemy. Taki sukces obowiązującej przeciwieństwa. Taki sukces podsuwa przeróżne supozycje. To też trzeba bądź przekreślić czterdziestoletnie piękne postępowe tradycje ZNP w walce o demokratyzację oświaty, bądź odgródzić się publicznie, zdecydowanie i wyraźnie, od tak zastanawiającej, od tak kompromitującej adoracji.

TADEUSZ HOŁUJ

Opowieść o nocy ostatniej

Noc poprzez otwartą bramę,
dalekie skuczą czołgi w mieście.
Grają organki marsyliankę,
zbudzony mieszczuch lyka trwogę
pyłając głuchy patrol: co to?
Grają organki marsyliankę
i coraz głośniej buty o bruk,
a przeleknione oczy świateł
mrużą kolumny aut w ucieczce.

I jeszcze szorstko gładzi Łabę
reflektor, most wyjmując z nocy.
Grają organki marsyliankę,
o towarzyszu, głośniej, głośniej!
to już granica tylu lat.
Pocaluj mnie wolnego, nie płacz,
a czapkę wieźnia rzuc w nurt Łaby.
Nie wierzysz — sztandar Republiki
ciągną na maszt i mówią: witaj!

Brzask. Oszalałe w matni auta
wiodą żołnierze, patrząc luźną
w nizinę czeską. Ponad Pragę
niebiosa — armat gardła czyszczą,
ziemia dygoce w wielkim śmiechu,
gdy komendanci przerażeni
wołają drogę już zamkniętą.

Już mury twierdzy poza nami
i szumi w mieście maj po drzewach,
wieczorem cichną czekający
w domach tragicznych Terezinka.
Tylko wysoko ponad nami
przewala się w eskadrach los nasz.
Grają organki marsyliankę
w ciemną noc obcych, w nockę bez gwiazd.

Spią towarzysze. W sen ich — granat!
i zaraz drogi pełne dźwięku.
Zerwany łańcuch ciągną obok
kamienną drogą setki czołgów.
To od motorów drżą nam słowa.

Na szkarpie twierdzy niemy stoje
w oslepią noc, tę noc pogromu,
kiedy żelazo brzęczy traktem
by zapasć znów w mgłę i ciszę.
Z fosy tortecznej klaska słowik
kasztanom ciemnym — jak w romansie.
Słuchaj. — To krzyczą teraz drogi,
idą kolumny, idą wojska.
Słuchaj! W bełkocie tanków słychać
wesołą noc, co woła pościg.

I nagle z domu odległego
wykłęty — śpiewa — powstań. Twierdza
zbudzona chwytła pieśń i bije
w okna ulicy, w kraty więzień.
Z nor, kiedy wypełzi, tłum, nie wstrzymasz
od krzyku bolą płuca domów.

Podaj mi ramię. Los skończony.
Radosna śpiewa twierdza i nam
wyratowanym w noc żelaza.

Nie słyszy tylko śmieszny słowik
chwałąc wiosenną zmianę nocy,
jak gdyby ponad życiem, śmiercią
czuły przerzucił śpiew stworzenia.
Grają organki marsyliankę,
grają organki marsyliankę.

Praga, maj 1946 r.

MIECZYSLAW JASTRUN

Godzina myśli — wiek poezji

Czytałem „Godzinę myśli” w różnych latach i w różnych warunkach; — za każdym powrotem ukazywała mi nowe niedostrzeżone przedtem znaczenia. Sprawdziłem dosłowność jej krajobrazu w mieście rodzinnym poety, a jej prawdę ludzką w perspektywie czasu. Kiedy teraz znowu wzięłem ją do ręki, uderzyła mnie rozległością swej problematyki i zarazem kondensacją formy, w której zażłokowo ukryte są późniejsze wynalazki symbolizmu. Zapewne cała twórczość Słowackiego czeka na ocenę z naszego współczesnego punktu widzenia. Są wiersze Słowackiego, które nie straciły nic z pierwszego brzmienia, może nawet dopiero ujawniły się w całym swym blasku. Ale mówić o Słowackim, nie o jednym jakimś jego utworze, to mówić o oceanie. Nieporozumienia, które towarzyszyły i towarzyszą twórczości poetów nie są nigdy wolne od inwazji nieskontrolowanego historycznego nastawienia, i łatwo mogą być nadużyte.

Niniejsza praca nie ma pretensji do naukowości, chce jednak bez przymrużenia oczu utrwalić jeszcze jedno spojrzenie na poemat, zapowiadający nieomal wiek odkryć w poezji, równoległych do odkryć w nauce; jest notatnikiem usiłującym odtworzyć obraz doznań, tak jak one odbijają się w oczach tego, kogo zdumiewa odnawiający się wciąż fenomen poezji.

*

„Godzinę myśli” napisał Słowacki mając lat dwadzieścia jeden. Umieścił poemat w szerzej chronologii poetyckiej. Mickiewicz kończy właśnie trzecią część „Dziadów” i „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego”. Lamartine trzy lata temu wydał „Harmonies poetiques et religieuses”, Wiktor Hugo ma lat 30, Baudelaire — jedenaście. W liście do matki (Genewa, dn. 15 marca 1833 r.) pisze Słowacki: „Teraz drukuję tom III i już mi przysłano arkusz pierwszy korekty. Zawierać będzie ten tom poemat w dwóch pieśniach pt. „Lambro”, następnie różne wiersze, znane w nieszczęściu naszej kuzynki (czytaj: Pniski), Dumę o ukraińskiej panie, co miał arabekie konie, na końcu zaś umieszczam poemat „serca, w którym jest całe moje dzieciństwo. Dla tego jednak poematu chciałbym, abyście tom III czytali śladem, Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszemu kraju może mi dać kat jakiego!”

Słowacki pisząc „Godzinę myśli” ma w pamięci Byrona, zwłaszcza jego „Sen”, przelożony przez Mickiewicza; ślady tej wizerunkowej wiodącej są tu i tam w słownictwie poety, w kadencji zdań poszczególnych, w tonie poetyckim. Nie to jednak jest ważne, ważna jest niebywała rozpiętość poematu, przy której śladem utworu Byrona, „Godzina myśli” nie jest bowiem ani poematem o miłości nieszczęśliwej, ani wykładem mistyki Swedenborga, ani epistem lat dziecinnych i przyjaźni chłopięcej, ale jest tym wszystkim i jeszcze czymś więcej: obrazem kształtowania się osobowości młodzieńca w epoce powszechnego rozczarowania.

Po rewolucji francuskiej i po wojnach napoleońskich ustalił się w Europie porządek burżuazyjny, który przyniósł zawód szlachy i masonom. Następstwem tego rozczarowania było runięcie wiary w zdolności poznawcze rozumu, w miejsce którego postawiono kult namietności, irracjonalizm i mistycyzm. Byron był lewym skrzydłem tego kierunku. Chataubriand ze swoim esjetyzującym chrześcijaństwem i szlachetką ideologią — prawym. Wpływ Byrona przejął różne formy w różnych krajach, zależnie od ich sytuacji politycznej i od przynależności klasowej poszczególnych pisarzy. Młodzieńcy Słowacki „przeżywa” Byrona, poetę wielkiego rozczarowania, występu i samotności; te same motywy znajdujemy zresztą u Puszkina, Lermontowa, Musseta i wielu innych. Lenau przejmując od Byrona ton bogoburzy, nawet Goethe zaledwie może się obronić przed sugestią tego poety. Dekabryści w rosyjskich podbiła jego poezja rewolucyjno-walnościowa. Mickiewicza „Konrad Wallenrod” jako poemat w duchu Byrona wielokrotnie już był komentowany; Jacek Soplica, tak bardzo niepodobny do reszty postaci „Pana Tadeusza”, jest dowodem jak głęboki i długotrwały był wpływ Byrona na naszych poetów. Malczewski z niepospolitą siłą, przed Słowackim, przyswoił poezji polskiej melancholijny ton Byrona. Ten inrocany ton czaruje przede wszystkim młodzieńców, podbiła ich, także im patrzył oczami Byrona na każde zjawisko; ach tym względem Słowacki podobny jest do Lermontowa, który nawet w opisie obrazu Rembrandta powołał się na Byrona. Słowacki już w czasie pobytu w kraju małe związany ze społeczeństwem — jego liryka powstańcza nie przeczy temu faktowi — chłopczy z nieślubną intensywnością kultury i poezji zagranicznej, kiedy odetchnął powiewem Europy, w ciągu niewielu miesięcy zdołał odrobić zapóźnienie Polski w sprawach mu najbliższych, w sprawach nowej wrażliwości, której różne formy tworzą różne odmiany romantyzmu.

„Godzina myśli” jest właśnie objawem nowej, nieznannej w Polsce wrażliwości, przesubtelniania tak wyrafinowanego, że po równaniu trzeba sięgać nie do współczesnej Słowackiemu zachodnio-europejskiej poezji romantycznej, którą się przecież żywił, lecz do poezji symbolistów i impresjonistów, którzy wzgardziwszy „cudownością” romantyczną, na spotęgowanej wrażliwości oparli swój kanon poetycki.

Siła tego poematu tkwi w powiązaniu sfer niezgodnych zazwyczaj: przesubtelnionej do ostatnich granic wrażliwości z dążeniem do oceny meralnej marzeń i zjawisk świata. Przyjacieli „większy nauka i laty” ginie zdradzoną przez marzenia, Słowacki znajduje ratunek w poezji. Jego młodzieńczy bunt przeciw porządkowi świata przypomina Byrona i już zapowiada Rimbauda.

On w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny
Mścił się — i gmach budował niedowiarstwem ciemnym;
Ta budowa, ciężkimi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom, lecz, by się w nią dostać,
Musieli wprzód jak wielcy szatani Miliona
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

Ci starsi bracia „siedmioletnich poetów”
Rimbauda, rojący o krainach jakiegoś bajecznego Wschodu, namietni i zbuntowani
...marzeniem księgi rozumieli ciemne
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego
Na księgach Swedenborga budowali
gmachy,
Pelne głosów anielskich, szaleństwa
i blasku,
Niebu tytanowymi groźce zamachy.
Pożerani przez marzenia tłoczą jednak walkę
o prawdę większą od marzeń:
Nigdy od krańców myśli nie odłamał życia;
Sprzął razem i powiązał dwa niezgodne światy.

Jeszcze ta cała historia młodzieńca i dwóch chłopców widziana jest jako „romans życia”, tak, ale już nacisk położony jest na zapewnieniu: „Nie skłamanym w niczym”. „Jeszcze przyszłość świetna okrzykiem ludzi” zajmuje myśli młodego poety, ale nie jest to żądza łatwego poklasku; nie darmo przecież mówi się tu o „lat tysiącach”. Młodzieniec, któremu już „piękno” nie wystarcza, toczy tu walkę o prawdę ludzką, te sama, której świadectwo dała w liście do matki: (Paryż, 4 październik 1831) „...czuje, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśnięty smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią poetyczną egzaltowaną rozkosz. Darujcie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi, a te raz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka”.

W istocie był to okres kształtowania się Słowackiego — człowieka i poety. Był to początek trudnej walki, którą będzie toczył poeta, walki o swoje i cudze człowieczeństwo, o świat i naród. I kiedy po latach u schyłku zbyt krótkiego życia spojrzysz na swoją twórczość, spojrzysz już nie własnymi oczami, ale wzrokiem chłopca „za sto lat w cichym domku pod Krakowem” czytającego książki dawno zmarłego poety. Oczami prostego człowieka oceni wtedy swoją poezję. „Wystawę go sobie”, to czyta „Balladyne”. Ten utwór bawi go jak baśń, a razem uczy jakiejś harmonii i dramatycznej formy. Bierze „Lillę”, to samo, „Mazepę” trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz zajrzał w „Godzinę myśli”, albo w „Lambro” — wżglądał te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego”. (List do matki, Paryż, w lutym 1845).

Tak patrzył na „Godzinę myśli” poeta dojrzały, nie doceniając jej prawdy, krywdząc siebie i swój poemat, albowiem, według słów Rimbauda, na które zgodziłby się pewno Słowacki: „Walka duchowa jest równie brutalna jak walka ludzi; lecz widzenie sprawiedliwości, to rozkosz Boga jedynie!” — Słowacki degradował swój pierwszy dojrzały twór, stawiając go obok „Lambro”, czuł w nim bowiem te same truciźny samotniczego romantyzmu; tak patrzył potępiał romantyczny „poemat serca” za brak serca. Jest rzeczą zdumiewającą, że w tym pierwszym poważnym utworze Słowackiego tkwi w dużym zgeszczeniu zarodek przyszłych form poetyckich, i to w kłamek klasycznego wiersza, w oszczędnej, noższej stempel pseudoklasycznej, poetyce, tak różnej od późniejszej rozlewnej i dynamicznej metody Słowackiego.

Znudzeni wonią kwiatów zmieszana,
stokrotną,
Wynaleźli woń tęskna — dżika i ulotną.
Była to woń wierzbanami obfokanej wody.
Z cichej fali wystawawa każdego
wieczora,
Tajemnicze w powietrzu rozlewając
chłody.
Potem jesienią — dzieci wyożbraja
chora,

Wypalona, igrała z złotym liściem lasów,
Smutna jak w starcach pamięć
przemienionych czasów.

W tych kilku zdaniach jest cały Baudelaire z jego arsenałem woni gnijących i jadowitych, z jego wyobraźnią chorą i wypaloną. Magiczna władza oczu, o której tyle w „Godzinie myśli”, znów każe myśleć o wierszu Baudelaire'a:

Idą przede mną oczy, których nie nie
zaćmi,
Którym Anioł wszechmądry nadał moc
magnesu.

Tęsknota za krajami egzotycznymi bliższa tu również w wyrazie „Kwiatom zła” i Rimbaudowi niż romantyzmowi. A te wszystkie skomplikowane zabiegi z czasem czyż nie zapowiadają największego ze schyłkowców Prousta?

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy
Jedną godziną myśli; trzeba w przeszłość
wrócić —
I przeszłość jako obraz ściemniały
i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku stołcu
odwrócić

I ścigać okiem światła obrazu i cienie...
Albo:

On sam od siebie śmierci odsunął
widziadło
Dziwnym wynalezieniem cierpiącego
życia,

On przed sobą przyszłości postawił
zwierciadło
I rzucił w nie obecne chwile —
i z odbicia

Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia
nadadzą

Obecnym chwilom życia...

Można by wskazać również w tym poemacie inne miejsca o dużej intensywności, spopularyzowane i nadużyte później przez lirykę symbolistów, np. fragmenty o jesieni. Nikt w Polsce tak nie czuł; poemat otworzył nową krainę odczuwania życia; waga eksperymentu Słowackiego w tym, że bogaci on wiedzę o życiu w sferze uczuciowej, że niejako pomnaża odbiorczość zmysłów. Po tej linii szła najbardziej twórcza część poezji najnowszych czasów. Nie wolno nam przekreślać tych zdobyczy, ale musimy odróżniać, wybierać i pamiętać, że to, co było zdobyczą w pewnym okresie, w innym może być zawadą. Linia rozwoju form literatury nie jest linią prostą. To co, że „Godzina myśli” minęła bez echa współczesności. „Szlachta nie rozumie” ostrzegal w kilka lat później Teofil Januszewski siostrzeńca, który przeczytał mu swoje najlepsze utwory. Rzeczywiście, szlachta „nie rozumiała, jej skóra była jeszcze zbyt twarda, by mogły przez nią przeniknąć tak subtelne wiersze. Poezja Słowackiego, mimo swych humanistycznych treści, mimo patriotycznej tematyki nazbyt wyprzedzała ówczesną wrażliwość polską.

Symbolizm, zwłaszcza francuski, posunął jeszcze dalej poszczególne zdobycze w zakresie rozszerzenia wrażliwości, wzbogacił i upowszechnił najtajniejsze dziedziny świadomości i wyobraźni, ale brakiem jego było, że doskonałą widzenia cząstkowe, tracił coraz bardziej z oczu całość: człowieka. Jedna struna, jedna odszczepienca, aczkolwiek piękna gałązka, jeden „mały, ale własny kubek” — oto ostatnie konsekwencje tego świętego skądinąd kierunku. Kogokolwiek ze znakomitych poetów tego okresu i jego okolic wymienimy, każdy prawie jest poeta jednej struny, czy to będzie Mallarmé, Valéry, czy Supervielle, nie mówiąc o młodszych. Odrwanie poezji od podłoża socjalnego, specjalizacja w jednej jakiejś dziedzinie, strach przed „prozą”, który doprowadził z jednej strony do przecieżania wierszy jednym z elementów Arystotelesowskiej jeszcze poetyki, z drugiej zaś — ucieczka w abstrakcję, w grę pojęć, oczyszczonej już nie tylko z pyłu ziemi, ale nawet z koloru powietrza, wszystko to sprowadziło w ostatecznym rozrachunku do oschłości i obojętności. Epoka wielkiego napięcia imperializmu i okresy rozkładu ustroju kapitalistycznego — nasycające się coraz intensywniej treściami coraz bardziej odczłowieczonymi. U Rilkego granica między rzeczą a człowiekiem nie zawsze jest utrzymana, lecz jeśli w jego poezji zwycięża mimo wszystko prawda ludzka, to George za całą moralność ma „piękno”; u innych świat staje się zaledwie wiązka impresji. Trudno mówić o jakimkolwiek prawie moralnym tam, gdzie mamy tylko igranie. Pozostaje jedyna moralność, moralność dyscypliny poetyckiej, moralność mistrzostwa. W porównaniu z tak jednostronnym artyzmem wielu spośród poetów nowszych czasów sztuka Baudelaire'a czy Rimbauda nasycona jest całą treścią humanistyczną. Mieli oni rzeczywistość, siłę tytanów, gdy buntowali się przeciw życiu, przeciw społeczeństwu, przeciw sobie. Te potęgę buntu, właściwą nie tylko młodości, ale rzecz byż można wszelkiej żywotności twórczej zachowali wielcy poeci w epoce rozwoju burżuazji do końca życia. Byron i Mickiewicz umierają w obozach

żołnierskich na polu walki. Kochali oni wolność; wielu spośród poetów nowszych kochało tylko swoją sztukę. Zapewne, żyli w innej epoce, i nie ich należy winić.

W tej godzinie historycznej, w której żyjemy, wszyscy naprawdę współcześni pisarze, niezależnie od tego jaką była ich twórczość i świadomość polityczna przed wojną, wyszli ze swego osamotnienia. Kto przeżył tę wojnę, ma tylko jedną drogę: do „wielkiego ludu świata”, o którym marzyli także nasi najwięksi poeci.

Jest rzeczą poetów, że dzięki swojej większej, długo ćwiczonej wrażliwości, czują lepiej współczesność, wcześniej i szybciej orientują się w jej sprawach, stąd wrażeń, jak gdyby wyprzedzali wypadki i stąd dość często ich niepopularność. Kiedy Blok ogłosił artykuł „Inteligencja a rewolucja” miał przeciw sobie cały ów pozornie subtelny i pozornie postępowy motłoch inteligentki, który w obliczu brutalnych faktów rewolucji wycofał się śpiesznie na pozycję obrony abstrakcyjnego „człowieka” i jego „sumienia”. Lecz poeta nie zawahał się postawić Chrystusa na czele swoich „dwunastu”, tak jak 70 lat pierwej poeta polski w poemacie, w którym Mongołów uczyni nosicielami prawdy rewolucyjnej, Chrystusowi wyznacza spotkanie. Pisał przecież „Do Autora trzech psalmów”:

Bo ty nie myśl, że z anioły
Tylko boża myśl nadchodzi,
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły!

Porównajmy tę strofę ze „Scytami” Bloka, a ujrzymy jak nowych i niespodziewanych znaczeń nabierają utwory poetów, jak wciąż jeszcze współpracuje z ich wierszami historia!

Tymczasem zamiast dawać wizerunki poetów w ścisłym związku z tworzącą historią, przedstawia się pisarza w oderwaniu od niej a za to wiąże się jego utwory z tą czy inną historią romansową.

Większość naszych historyków literatury uważa np. okres działalności publicystycznej i politycznej Mickiewicza za stracony, za tragiczny dla poety i t.d. Tymczasem cała poezja Mickiewicza ku takiemu rozwiązaniu zmierzająca, i wielkość jego moralna tylko w działaniu bezpośrednim mogła znaleźć ujście.

Stylizatorzy, których nasyca „czysta gra wyobraźni, nie rozumieją, że wyobraźnia, która cofa się przed współczesnością tak natężoną jak nasza, nie warta jest potarcia dwóch słów o siebie, po to tylko, by skrzesały marną iskry poetyczności.

Bo nie jest chyba tajemnicą, że poezja to zjawisko nie częste i raczej wyjątkowe. Niepowtarzalność jej przyciąga i odpycha zarazem. Trudność w określeniu wielkiej poezji nie ma nic wspólnego z niewypracowaniem formuł dostatecznie ścisłych i równocześnie giętkich. Zapewne, znakomita liryka Lenaua czy Tułtcewa można od biedy komentować i objaśniać lepiej lub gorzej, ale co począć z utworami tak ostatecznymi jak wiersze Hölderlina z lat jego obłędu, albo liryki Lozańskie, albo przedśmiertny utwór Byrona, zaczynający się do tych słów:

Niech serce moje bić przestanie.

Kiedy już innych serc nie wzrusza.

Co począć z wierszami, których piękność jest nieodłączna od najtrudniej dostępnej — piękności moralnej.

Dzisiejszy czytelnik odczytał się brać serio poezję; wina to częściowo samych poetów, wi na owego przystylizowania, owej nagminnie szerzącej się poetyczności, która nas zalewa, nawet dzisiaj, gdy zdawało by się, wybiła jej ostatnia godzina.

Opportuniści mogą powstawać na ten czy inny surowy osąd, formalistów małego kalibru będą dla obrony swych szlacheckich mówili, że oto proponujemy obniżenie napięcia artyzmu. Ale niech nie zapominają, że właśnie artyzm najwyższy można ocenić tylko rewolucją moralną.

Jest prawem przelomowych okresów historii, że gdy z wysokości ich spojrzymy wstecz, w jednym błysku widzimy całość obrazu: „Godzina myśli” Słowackiego wydawała się piszącemu te słowa najbardziej podatnym do takiego rozrachunku utworem.

W poprzednim numerze „Kuznicy” z dnia 4 listopada: Adolf Ruśnicki: Dzienniki Major Hubert z Armii Andersa — Stanisław Jerzy Lec: Pod Amelinem — Adam Schaff: Rewolucja Październikowa a Polska — Witold Kula: Uwagi o historii gospodarczej — Adam Ważyk: Rozmaitości, Rozkosze metafizyki 2 e-kawu: Poetyka — 1921 czy 1945 — Artur Sandauer: Metafizyka i sprawy powszednie — Stefan Żółkiewski: Wiosna 1944 — ph: Przegląd prasy — St. R. Dobrowolski: Co o tym myślał Warszawiancy — Henryk Ułaszyn: Z powodu wydania podręcznika pisowni polskiej — Kronika teatralna — Korespondencja — Odpowiedzi redakcji — Noty — Jedna ilustracja — 8 stron.

LUDWIK HERING

Meta*)

Stary zegar na wieżycze fabrycznej wciąż chrapliwie oddech i wybił trzęsą.

Nastroszony we wnęce głębokiej, wysoko sklejonej bramy, stróż, splunął, zaszurał buciorami, ale nie wstał i na codzienny nocny obchód nie wyszedł.

Przed wielkim łukiem wylotu, zwarte w masę budynki fabryczne, czerniały jak ściany piekielnego kotła na czerwonym, pulsującym pożarom niebem. Przez szczyby i wyrwy błyskały żywy ogień i słychać było aż tu syk płomieni i rumor raz po raz osuwających się pięter. Brzozowski nie podniósł się na codzienny obchód, bo od dnia powstania w getcie Niemcy zaciągnęli wachę i uprzedzali, żeby nocą nikt się po terenie nie krecił.

Od wielkiego czwartku na działkach przyległych do granicznego muru ustawili karabin maszynowy i co kilka godzin zmieniała się jego obsługa. Karabin albo terkotał bez przerwy, albo milczał. Było przeważnie tak: odezwał się zza muru strzał, puknięcie jak z dziecięcej zabawki — wtedy salwą odpowiadał najbliższy posterunek — hasło podrywał sąsiedni — za nim inne — cały ścisnący getto pierścien rozszczebiwał się wszystkimi rodzajami broni i milki stopniowo, niechętnie, jak zmęczona a jeszcze podrażniona sfora psów. Tylko działa waliły monotonnie, glucho, w równych odstępach czasu z ustawionych w pierwszych godzinach powstania pozycji.

Taka była akcja nocna — bo od 8-ej wieczorem aż do 6-ej rano wszelkie wojsko zza muru było wycofane.

Sina smuga światła z dyżurki przekreślała bramę i oświetlała stróża. Napęczniałe przy uszach szczyki wyschłej twarzy w ciągłym ruchu przerabiała nadmiar napływającej śliny, którą stary raz po raz splunął we wstręt. Za szybkimi dyżurki w płynnym fioletcie polyskiwały helmy i poruszały się niemrawo ciemne postacie śpiących strażaków. Spali — pewni, że żadne niebezpieczeństwo już nie grozi. Najbliższe domy getta wypaliły się wczoraj. Przez cały dzień i wieczór wszystkie hydranty i węże były w ruchu. Na każdą lejącą zza muru iskrę kierowano kilka strumieni, z których każdy mógł zabić człowieka. Oprócz miejscowej ochotniczej straży wezwano pomoc z sąsiednich fabryk. Dyrektor kierował akcją — sam w helmie, spocyny, podniecony — mieszał się z współzawodnikami; któryś nie poznał go i przynajmniej socystym przekleństwem. Dyrektor klepał z uznaniem energicznego strażaka; zadowolony z akcji kazał postawić kilka litrów wódki i sam pil także. Obiecał specjalny dodatek świąteczny, ale wymagał dyżuru — od tych przynajmniej, którzy mieszkali na miejscu. Dyżurowało dwóch. Zamiast spać w domu — spali tu.

Budził się czasem któryś — wychodził przed bramę — i patrzeć w czerwone niebo mówił z podziwem: — Ale buzuje! — Ziewał i wracał układając się z przekleństwem, pod skośnym od schodów sklepieniem dyżurki.

Zegar z trudem, cierpliwie, przegryzał wyszczerbionymi zębami minuty i kasał godziny. Dniało. Murzy garbarni zrudziały. Zszarzałe niebo klebiło się od brudnych — białych i czarnych dymów. Brzozowski wstał prostując wielkie, ciężkie, zardzewiałe w stawach ciało. Obciągnął szczerzyły kożuch, wetknął pod pachę alarmową trąbkę i podpierając się podkuty kłosem ruszył na ostatni obchód.

Przeszedł z tupotem po rampie wzdłuż frontowego budynku, szarbiąc po drodze napotkane kłódki i próbując zamknięcia klamek, obmacywał podejrzliwym, zawodowym okiem futryny drzwi i kraty okien. Przewiał uliczkę, której zamglony wylot prowadził na ogrodowe działki, gdzie stały wachy i skreślił między ceglaste budynki. Zza szczytów i frontów powycinanych w zeby i wieżyczkę wznosił się komin i jak potężny pień wraстал w sklezione dymem niebo.

Niektóre budynki, wypalone w pierwszych tygodniach wojny, stały przezrocyste od wielkich, krągłolukich okien, pokratowanych żelaznymi bez szyb witrażami. — zamykały, jak klatki sterczące z rumowisk, wyjęte od ognia żelazne żebrowania zarwany sklepień.

Mimo wojny, dyrekcja bankrutująca przed wojną, a produkująca obecnie na dzierżawionym terenie, odbudowywała w szybkim tempie swoją fabrykę podług wymagań nowoczesnej architektury. Dawne doly i studnie wykładane drewnianymi belkami a ciągnące się przez ćwierć terenu, jak plaster cuchnącego miodu, zastąpiło szachownicą kabin zrosniętych betonowymi ściankami. Główny kilkupiętrowy gmach przytkający do kotłowni już był pod dachem. Tam właśnie doszedł Brzozowski i drapał się w górę po spadzistych trepach łuki przygotowanej dla windy. Stał przy wylocie okna piętrowej hali. Tylko wąska uliczka dzieliła budynek od getta.

Nad gettem, jak mógz w odkrytej czaszce, klebiły się ciężkie, śliskie zwoje dymów, żyłowane ogniem.

Murek graniczny odchyłał się łukiem od fabryki i ginał w mętnej perspektywie zamknię-

tej pręga wschodzącego słońca, skąd słychać było zgrzyt i sygnały przesuwanych pociągów.

Do muru przylegał plac — niegdyś targowy — od roku cmentarzysko rupieci — zwałony stosami naczyń blaszanych, żelaznych łózek i dziecinnych wózków. Tu przed rokiem po wielkiej likwidacji zwalano z martwych domów wszystko, co nie miało określonej wartości i nie mogło być zmagazynowane w specjalnych składach. Tu przed rokiem podczas wielkiej likwidacji mrowiły się tłumy niezamordowanych przy „selekcji” — tłumy kierowane ulicą przy murze w stronę bocznicy kolejowych. Po likwidacji, tu — w przyległych do placu niektórych blokach oddzielonych od innych drewnianymi zagrodami — skupiły się resztki życia. Z kilkudziesięciu tysięcy pozostałych, część żyła oficjalnie, pracując w warsztatach (tzw. „Szopach”) i część nielegalna, żyła „dziko”. Jedni jak i drudzy żyli ukradkowo; ścichli, stali się niewidoczni na ulicach zielonych od wysokiego, wyrosłego w szparach bruku i chodników zieliska.

Nad martwymi przestrzeniami, jak nad wodą, szybowały nisko chmury nieposłusznych jaskółek.

Jakiegoś letniego wieczoru, oficjaliści fabryczni, grzebiący w jarzynowych działkach, usłyszeli, z bliskiego za murem domu, muzykę skrzypiec, grających niezdarnie a namiętnie popularne melodie. Łotysz, który nudził się na ulicznej warcie poszedł właśnie wylotem w ogród; słuchał chwilę — nachylił się — podniósł cegłę i puścił ją w celnym rzucie w okno. Na drugi dzień wyluczona szyba była zastąpiona deską, ale muzyka już nie odezwała się nigdy.

Siwa, żona kasjera, z naprzężonym profilem — jakby zasłuchana w siebie (chora na serce, umarła wkrótce) — mówiła:

„Jak dobrze, że tych Żydów wywieźli — jak tu cicho teraz — jak przyjemnie...”

Bo przed likwidacją ta część graniczna nie miała dnia ani godziny ciszy i odpoczynku. Wielkim łukiem od „Parysiaka” aż do Leszna szedł szmugiel. Wieczny ruch, gwar, krzyki, nawoływania z okien getta do okien po „tej stronie; targi, kłótnie współzawodników, płacz strasznych, turkot wózków, bieganina — nie ustawały na chwilę. Nawet ciszę świątecznych żydowskich wieczorów rozdzierał chór nędzarzy wolejących do serc zamkniętych.

Getto żyło Warszawą — Warszawa żyła gettem. Każdy wiedział o tym, każdy z tego korzystał, prócz tych, czystych co, korzystając, nie chcieli o tym wiedzieć. Warszawa żyła gettem jeszcze długo po jego śmierci — aż do własnego końca. Getto było sercem Warszawy. W ciągłym pulśowaniu przyjmowało i wydzielalo: po przez „wachy”, „mety”, „dziury” — jak przez aorty, arterie, tętnice i stokrotne rozgałęzienie żył — aż do naczyń włoskowych. Przez przekupione wachy przy głównych wjazdach szedł szmugiel autami, wozami, wózkami i karawanami. Szedł szmugiel przez stałe „mety”; tajne przejścia z aryjskich terenów przyległych do getta; przez dziury w murze — wybijane i zamurowywane kilkanaście razy w ciągu nocy; przez kanały i rynsztoki pod murem; wreszcie przez zjezony szkłem mur, którego każdy dowolny punkt na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów strzeżonego obwodu — pewnej chwili — za pieniądze, za ryzyko życia, mógł być przekroczony.

Getto chłonoło wagony zboża, tony tłuszczu, mięsa i cukru; przez otwór po jednej cegle wlewano wyjętymi lejami mleko; przez dziurę po wyjściu kilkudziesięciu cegieł wciśnięto żywą, klejącą krowę, albo krowę poświęconą, rzezana na miejscu rytualnie. Podawano najdroższe owoce — pomarańcze i winogrona, ryby i drób i rybki drobne jak śmiecie i ochłapy mięsa bez nazwy. I smalec koński, który nie krzepnie i można go sprzedać za grosz. Surowiec dla wielkich zakładów przemysłowych szedł przez wachy — wielcy przemysłowcy potrafili łatwo porozumieć się z dzierżawcą i zarządcą Niemcem. Dla chałupników podawano przez dziury porwane kosze trzciniowe na wyrób „ryzowych” szcotek, kity krowich ogonów na wyrób pedzli, których włos zdziera się po trzech użyściach i wory drewnianych szpilek dla szewców, którzy przez dnie i noce wypukowali złudzenie przetrwania.

Podawano wszystko co mogło umożliwić życie. Bo wszystko co było śmiercią objął mur. Korczak prosił o najstarsze, najbardziej znane tradycyjne nowenny i litanie katolickie. Chciał napisać utwór, którego wypróbowały przez wiele pokoleń rytym ułatwiłby umieranie z nadzieją. Mówił: „Może to wiara — a może (zastanawiał się ze smutnym cynicznym uśmiechem), może tylko skleroza?...”

Co szło z getta? Dzielnica żydowska objęła dawne centrum handlowe — hurtownie i składy manufaktury i galeriami wszelkiego rodzaju. Pozostał przemysł metalowy (naczynia, narzędzia, drobne maszyny rzemieślnicze), składy blachy i drutu, surowce chemiczne, środki lecznicze, kosmetyka, księgarnie wreszcie.

W getcie trwał nadal pod nadzorem niemieckim wprawdzie, wielki przemysł garbarski, szewski, krawiecki i inne, który jednak na zasadzie nielegalności wypływał tajnie na rynek gubernialny i zasilął milionami tak prawych właścicieli jak i zarządców niemieckich.

Poza tym szło przez mur wszystko co nie dało się zgryźć i strawić w getcie: dobytek biedoty, przepych zrujnowanych bogaczy i łachy zdarte z trupów.

Proces realizacji szmuglu w pieniądzu i pieniądza w taki czy inny byt nie ominał nikogo. Każdy był ogniewem w tym łańcuchu.

Pięknoduchy czyste w swojej nieświadomości — bo odsunięte dalek od muru — brzdziły się getciarstwem.

Inni ze względów „ideowych” gorszyli się i wdychali: „Boga się nie boją — wstydu nie mają — żydom pomagać? A żeby to tak nas spotkało — czy by który z nich nam pomógł? — chciałbym widzieć!”

W swojej ciemności widzieli poświęcenie tam — gdzie był tylko wspólny interes; tylko pasję handlową spozstrzegano w ratowaniu się przed śmiercią, a samo pragnienie życia ludzi zza muru — gorszyło jak występki.

Mówiono także z zazdrością o getcie: — ptasiego mleka im brak: czego tam nie ma?

„Dobrze”

Poeta — agitator, poeta publicysta — pojęcia na pozór sprzeczne. Od stu lat prawie, odkąd zesłał do swiata wielcy romantycy, ustaliło się przekonanie, że sztuka i tendencja wykluczają się nawzajem. Poezja — mówił Schopenhauer — powstaje z biernej kontemplacji, z bezwolnego poznawania idei. Majakowski przypominał starą i zapomnianą prawdę, że sztuka jest tym większa, im większe i bardziej powszechne wyraża uczucia. Omdleającej lirycy symbolistów przeciwstawił swoją — gniewną i zaczepną. Rewolucja październikowa skierowała tę siłę buntu i zaprzeczenia, jaka w nim była, na drogę pozytywną. Rzecz dla dotychczasowych jego wielbicieli niezrozumiała: ten wielki poeta zaczyna rysować afisze dla ROST-a (dawna nazwa TASS-a), pisac reklam handlowe dla spółdzielni „Mostorg”. Reklama towarów spółdzielczych uderzał Majakowski w paskarstwo, poematami — w kontrrewolucję. Wycucie tworzących się dziejów pozwoliło mu w obu rodzajach — pozostać sobą. Równocześnie zaś poczucie humoru i bezwzględna szczerść chroniły go — bez uszczerbku dla patosu — przed patetycznością. Opisując zdobycie pałacu Zimowego w październiku 1917 r. — wydarzenie, które rozstrzygnęło o losach jednej szóstej kuli ziemskiej — dostrzeże okiem satyryka równocześnie tabunek zegarka. W świetlanej wizji przyszłości nie omieszcza z ironiczną przesadą umieścić brodatego muzyka, który pisze wiersze.

To spojrzenie na historię od strony codziennej pozwoliło mu stworzyć nowy rodzaj literacki: epopeję liryczną. Dzieje zbliżają się tu do czytelnika, ukazane w wypadkach powszednich. Z drugiej zaś strony, — przeżycia osobiste nie są tu jakiegokolwiek, wyrwane z czasu i w tym kraju. Podobnie jak Mickiewicz uczynił tematem tragedii narodu polskiego w „Dziadach” część III nie powstanie listopadowe, lecz aresztowanie paru żółtodziobów w Wilnie, tak Majakowski — zamiast o katastrofie głodowej na Powoźcu w 1921 r. — opowie smutną, nieznaną historię, o spuchniętych z głodu oczach ukochanej i o przymieszanej w podarunku marchewce. Nie jemu wybielać i upiększać rzeczywistość! Tak jest, głodowaliśmy, tak jest, marliśmy, jady nas wszy i tyfus, ale popatrzcie — zdaje się mówić — czegoś my dokonali. To spełnienie przeżyć osobistych i — państwowych stanowi o wielkości napisanego w 1927 r. na 10-lecie rewolucji poematu „Dobrze”.

„Ten dramat
w odczytanie się naszej, rozegrał
w sercu
rozegrał się
moim?”

(Wstęp, str. 1).

Akcja tych historyczno — lirycznych fragmentów rozpoczyna się w 1917 r. Mieszczańska rewolucja lutowa, po której doszedł do władzy ugodowy rząd Kiereńskiego, nie zadawała mas, pragnących przede wszystkim końca wojny, której nowi panowie kraju zgola nie zamierzali przerywać. (Str. 2). Polowiczna polityka Kiereńskiego ujawniała się coraz bar-

*) W najbliższych dniach ukaze się nakładem „Książki” przekład poematu „Dobrze” Majakowskiego, poprzedzony przedmową tłumacza, którą zamieszczamy w całości.

czego tam nie ma? Sklepy się załamują od wszystkiego. Domorośli ekonomiści uzupełniają: — Przez to u nas taka drożyna — przecież tam taniej, niż tu.

Mimo pozorów nadmiaru i obfitości szmugiel nie starczał na wyżywienie getta. Masy pozbawione były pracy i zarobku. Masy marły z głodu. Tylko w getcie widziało się ludzi spuchniętych jak wory mąki, albo ludzi o nogach i rękach czerwonych, przezroczytych i cienkich jak wyszane cukierki. Wyli bez słów, ślaniał się bez głosu. Całe rodziny półżywe leżały w skwarze — czy w mroź, na stosach zgniętego lodu; syczały przy chodnikach wyciągając ręce.

W początkach przykrywano padłe na ulicy trupy arkuszami papieru przyciśniętego na nogach ceglami, później zbyt wiele było trupów i widok odkrytych też przestał razić.

Mówiło się, że można by utopić bez śladu miliony i nie zaradzić nieszczęściu. Nietopione i napływające miliony krystalizowały się w brylanty czystej wody — dla oprawców w Treblince i szantażystów po aryjskiej stronie. Oslawiona solidarności żydowska okazała się jeszcze jednym mitem o nich.

Getto od cmentarza dzieliła linia tramwajowa ulicy Okopowej. Kilkadziesiąt razy dziennie rozwierano żelazne kraty bram, które łączyły się z sobą skrzydłami tworząc korytarz. Tym korytarzem ciągnęły karawany, wózki ręczne i głębokie wozy zbiorowe. „Oddalił boję” (kartę aprowizacyjną) — mówiło się za murem o ludziach zmarłych z głodu, czy epidemii.

Dzień jako zamaskowana kontrrewolucja. Ów zawodowy adwokat i nie mniej zawodowy blagier i frazeolog zaczął cichaczem nawiązywać kontaktki z stojącymi na czele kontrrewolucyjnych kozaków kubańskich i dońskich generałami Kaledinem i Kornilowem. Uwziętego wówczas cara proponował Kiereński — dla większego bezpieczeństwa — przetransportować do Anglii. (fr. 3). Sprzeczności polityczne zaostrzały się. Po nieudanym zamachu lipcowym partia komunistyczna znów ukryła się w podziemiach. Ukrywał się również przybyły świeżo z zagranicy Lenin. Co więcej chwytne elementy z socjal — demokracji coraz wyraźniej zaczęły się przechylać ku monarchistom. Typowa pogawedka, jaką we fragmencie 5 prowadzi liberalny adiutant i jawnie reakcyjny kapitan, ukazuje bliskość obu tych odłamów. Łączy ich wspólna nadzieja na zwycięstwo powstania kozackiego, a przede wszystkim nienawiść ku bolszewikom i ku Leninowi, którego uważają za agenta niemieckiego przyslanego specjalnie z Berlina do Rosji w zaplombowanym wagonie. Tymczasem w podziemiu partia rozkłada broń, gotując się do jutrzejszego natarcia. (fr. 5).

W noc z 24 na 25 października 1917 r. wychodzą z koszar oddziały rewolucyjnych żołnierzy, z którymi łączy się marynarze i bojówki robotnicze. Otaczają siedzibę Tymczasowego Rządu, pałac Zimowy, z pałacu Smolnego, gdzie przebywa Lenin, wychodzą rozkazy. Pałac Zimowy zostaje zdobyty szturmem. Słowo „socjalizm” przechodzi po raz pierwszy ze słownika do rzeczywistości. (fr. 6).

Następują fragmenty bardziej osobiste: spotkanie młodego wówczas — futurysty Majakowskiego z czołowym poetą generacji symbolistów, a zarazem byłym posiadaczem ziemskim, Aleksandrem Błokiem. Błok uznaje konieczność rewolucji, wie, że „trzeba z żywymi naprzód iść”, nie może jednak zapomnieć o swoim spalonym przez chłopów dworze, wraz z którym spłonęła i biblioteka. Rewolucja rozpetala żywiołowe sily, które partia z trudem i powoli umjuje z powrotem w karby. (fr. 7). W zrujnowanym wojną domową kraju życie nie jest różowe. Trzeba odbudować to, co zamieszki wewnętrzne zburzyły. (fr. 8). Lecz ani mroź (fr. 11, 13) ani katastrofa głodowa (fr. 14) nie powstrzymują idące ku socjalizmowi krainy. Na Placu Czerwonym w Moskwie, gdzie odbywają się coroczne pochody pierwszomajowe i gdzie mieści się cmentarz bojowników rewolucji i mauzoleum Lenina, Majakowski zdaje cieniem poległych towarzyszy sprawę z wypełnienia ich pogonnych rozkazów. (fr. 18). Fakt: kraj idzie naprzód przyspieszonymi krokami piatiletek. (fr. 19).

Tłumacząc „Dobrze”, starałem się stworzyć poemat samoistny, jaki napisalby Majakowski po polsku. By zbliżyć oryginał do czytelnika, spolszczyłem tu i ówdzie nie tylko tekst, ale i potrosze tło historyczne, zastępując np. Stienki Razina — hajdamaczną, unikając jednak przy tym anachronizmów lub zwyczajnych fałszów. Sama zresztą poetyka oryginału stawała trudności nieprzebyte: jak dać równowagę rymów Majakowskiego z akcentem na czwartej lub piątej zlosce; rymów odwrotnych (np. szoroch i chorosz); jak sprostać bogactwu aliteracji, owym echem „ednego dźwięku, przetaczającym się poprzez strefę? Za grę słowną lub kalambur, nieprzetłumaczal-

(Ciąg dalszy na str. 4-tej)

* Początek dłuższego opowiadania

„Przedwiośnie”

1. Pałeczka Prospera.

W każdej powieści Żeromskiego odnajdujemy chwilę, kiedy Prospero podnosi magiczną pałeczkę do góry, aby uclazył zbuntowane żywioły i dobre duchy przywleść dla ukarania zbuntowanego Kalibana. Stary Baryka przeciwstawia rewolucji rosyjskiej szklane domy. Atakowano Żeromskiego za marzycielstwo, nikt nie odważył się powiedzieć, że baśń o szklanych domach była jedynym argumentem, jaki skłonić mógł Cezarego Barykę do powrotu do Polski. Kiedy zarzeka się Żeromskiemu obronę moralnej wartości pałeczki, nie wolno zapominać, że sam gest jest również fałszywy. Z nieprawdziwego zdarzenia jest nie tylko księżniczka Sieniawianka z „Przedwiośnia”, całe Porębiany są zamkiem na szklanej górze. W powieści jedynym argumentem są fakty i doświadczenia ludzkie. Istotna tragiczność Żeromskiego — to chwila, kiedy Prospero slega po magiczną pałeczkę przeciwko faktom.

Wiara w postęp techniczny, przeobrażający świat, dwukrotnie znalazła swoje odbicie w literaturze polskiej: w okresie pozytywizmu i w latach dwudziestych. W okresie pozytywizmu dostrzegano ścisłą zależność rozwoju techniki od przemian gospodarczych i społecznych. Biedny wynalazca walczył o pieniądze na przeprowadzenie doświadczeń. W latach dwudziestych zjawia się czysty mit cywilizacji technicznej, wolnej od przemocy kapitału. Wynalazek staje się cudotwórcstwem. Fabrykę szklanych domów zakłada lekarz. Szklane domy powstają z piasku. „Oto wziął — mówi stary Baryka — garść piachu, którym wszyscy pogardzali, techną weń myśl swoją i na wzór Boga rzekł: uczynię z tej garści piasku świat nowych światów”.

„Dobrze”

(Ciąg dalszy ze str. 3-diej)

czalny w jednym miejscu, próbowałem w innym zapłacić własnym, było zgodnym ze znaczeniem i stylem oryginału; tak, aby suma piękności, choć nie tych samych, była w ostatecznym rachunku ta sama. Próbuje dorównać niezwykłości rymów Majakowskiego, wprowadzam rzadkie u nas dotąd rymy daktyliczne (z akcentem na trzeciej zgłosce); wykorzystałem po raz pierwszy w poezji polskiej akcent logiczny słów (np. obniżający, ból łonie zamęścić itp.). Zasadniczym jednak zadaniem było zachowanie charakteru estradowego tej poezji. Majakowski utwory swe buduje nie na ortografii, czytniku konserwatywnym i zawsze spójnym języka, lecz na żywym słowie; wyrazy kurczą się i wydłużają, jak harmonika, w tym wierszu, bezgłównie nie są, lecz akcenty. Stąd owe, niezwykle dla naszego czytelnika, „słody”, które, oznaczając różnicę między grupami akcentacyjnymi, służą zarazem jako wskazówki dla recytatora. Zgodnie z tym estradowym i masowym charakterem jego poezji, język Majakowskiego naprawiony jest najczęściej gwara środowiska, ale któregoś lub o którym pisze. Toteż w przedmowie nie cofałem się przed porażeniem, twierząc — gdy szło o chłopów — „buźden” zamiast „kałdy”, gdzieś indziej „wza” zamiast „wiesz”. Pysca była duża i zasadnicza: chodziło o dostosowanie wiersza polskiego do nowych celów. Czasu starczyło. Wpływy nie dołączali. Front owej zimy 1943 r. planął w odległości 1.000 km. i nabliżył na wydanie tomu poezji w lasach karpacczych było niewiele. W samolocie nie ma mieszcznej, w lesie, lub w przygodnej stodole bez oryginału, bez paleniska, bez ołowka — którym zresztą ze względu na mróz i mrok nie sposób byłoby pisać — tłumaczyłem z pamięci — na pamięć, szukając orzeczenia we wierszu przed ciemnością, głodem i zimnem. Toteż najlepiej — sadzę — wyszły te przykłady, których treść była mi wówczas najbliższa. Nastąpiła ofensywa wiosna 1944 r. z niewątpliwą korzyścią dla mnie, że szkoda dla książki. Nie zlażyłem bowiem tej wykończony i jedyny nastój, w jakim ten, zrodzony z nędzy podziemia i z techniki za wolnością, utwór był możliwy, miał bezpowrotnie. Tłumacz poezji, jak poeta, jest ofiarą natchnienia. Przekład wynika z niepowtarzalnego przecięcia się dźwięku i tłumacza, rezygnującego z własnej twórczości, w umyśle, że ten, który mógłby i sam podjąć, został mu już w sposób niedościgniony doskonały — wychwycony. Dopiero po wyjściu z polowania porównałem światło spisane uwyki z tekstem. Książka ta jeśli nie ma innych zalet, to w każdym razie to cechy wyróżniające ją od wielu innych — że powstała w ciemności — na pamięć.

Artur Sandauer

Już w „Róży” Żeromskiego przyszłość rewolucji związana zostaje z wynalazkiem promieni śmierci, mierzących wroga. Było to marzenie o bombie atomowej niszczącej. Szklane domy — to energia atomowa twarząca. W opóźnionej gospodarczo Polsce wiara w technikę przeistaczała się w żądanie cudu. Proces techniczny, uwolniony od zależności społecznych i ekonomicznych staje się absurdem. Prospero podnosi magiczną pałeczkę: szklane domy mają uleczyć z nędzy wieś polską, szklane domy mają zasnąć rewolucją: „Rewolucja istotną i jedyną — czytamy — jest wynalazek. Rewolucją fałszywą jest wydzieranie przemocą rzeczy przez innych robotników”. Szklane domy mają umożliwić reformę rolną. „Reforma rolna — mówi stary Baryka — którą właśnie tam przedsięwzięli i rozważają, chociażby jak najbardziej wypadła, nie będzie papierową, teoretyczną, niezszerszalną, lecz rzeczywistą i skuteczną. Rozciągnie ona nowe szklane domy, rozrzuci je po szerokich pustkach, ugorach, polach, lasach dawnych latyfundiów... Chaty w niektórych osiedlach połączone są już szklanymi chodnikami. Obazerno gromadzkie szklane obory i gromadzkie chlewy dają możność rozwinięcia nowych przemysłów mlecznych, kooperatywnej hodowli świń...” W Paryżu i Brukseli widziałem rzeczywiste szklane domy zbudowane przez Corbusera, mieściły się w nich największe towarzystwa akcyjne Europy.

W latach siedemdziesiątych kult wynalazków wypływał z przekonania o wyższości cywilizacji przemysłowej i technicznej nad rolniczą i wiejską. Przekształcenie mitu techniki we wiarę w cud techniczny odpowiada już zupełnie innym dążeniom. Szklane domy umożliwić mają powrót do natury, odnowienie cywilizacji wiejskiej. Postuchajmy tylko: „Okazuje się przeciwko własnym wskutek i wobec wynalazku naszego Baryki, że wyrazem bogactwa nie jest pieniąż, ani nagromadzenie wartości realnych, drogocennych przedmiotów i rzadkich zapałachów, tylko zdrowie. Najbogatszy bankier, jasnie wielmożny magnat, przejadłszy apetyt, przepiłszy możność pragnienia, zrujnowawszy zdrowie nerwów nadużyciami, słyszy od lekarza radę: — trzeba, żeby jasnie wielmożny pan zamieszkał na wsi, chodził w zgrzebnej bieliźnie bez kapelusza i butów, żeby dostojny smakosz jadł chleb razowy, kaszę, rzepę, rzodkiew, pogryzał czosnek...” Tych cytat wystarczy, aby pokazać, jak dalece baśń o szklanych domach przy całej swojej rozmyślnej zresztą, naturalności i fantastyce jest konsekwentną ideologią społeczną. Mamy tu bowiem obraz cywilizacji, która choć z cudu technicznego wyrosła, jest przeciwieństwem swojej antytechnicznej. Mamy tu obraz ustroju społecznego, który umożliwić ma wyzysk, ciemnotę i nędzę, ale broni solidaryzmu. Mamy tu wreszcie zarys gospodarki, która choć wyłamać chce się z przemocy kapitału, widzi jedną jedyną jego postać — pieniąż. Znamy dobrze ten typ utopii. Nie przypomina on w niczym marzeń wynalazców Fouriera i saint-simonistów. Słoga czasów znacznie wcześniejszych. Szklane domy — to szczęśliwa wyspa fizjokratów.

Tak wyglądała w roku 1924 magiczna pałeczka Prospera. A jak wyglądał Kaliban?

2. Kaliban.

Dla Żeromskiego rewolucja była buntem żywiołów; uosobieniem zemsty za wieki krzywdy, nagłego okrucieństwa i marzeń o sprawiedliwości na świecie. Była powtórzonym walk. Gigantów z Zeusem, zwycięstwem sił elementarnych, triumfem chaosu, wydobyciem się na powierzchnię życia dobrych i złych mocy, drzemających dotąd w naturze człowieka i tłumionych przez porządek społeczny.

Kalibanem był dla Żeromskiego chłop rosyjski, palący dwory. Ale był to Kaliban bardzo specjalnego gatunku. W tym dziwnym eplocie nieproszony zbuntowany chłop rosyjski stawał się bowiem kolejno szlachetnym dzikusiem z powłastek filozoficznych Diderota, nadezwłowiek Nietzschego, personifikacją „élan vital” Bergsona i „nagiej chuci” Przybyszewskiego. Warto się tym ocenom nieco bliżej przyjrzeć.

A więc po pierwsze: w ruchu rewolucyjnym dostrzegał Żeromski walkę człowieka pierwotnego z cywilizacją. Ale cywilizacja była zatruta i spaczona, a dzikus szlachetny, choć bezłitosny i okrutny. Stąd tyle sympatii po stronie dzikusów.

Po drugie: rewolucja była dla Żeromskiego zwycięstwem żywiołu życia nad kłamstwem martwej kultury. Była wybuchem namiętności, dobrych i złych, ale szczerych i prawdziwych. Była rozjaśnieniem życia. Żeromski stawał po stronie namiętności pasji, żywiołu przeciwko rozumowi, więzom i ograniczeniom.

Zywioły, namiętności i instynkty nie mają historii. I dlatego ostateczna ocena rewolucji dana zostanie przez Żeromskiego w kategoriach biologii lub geologii. „Jedyną rzeczywistością — czytamy — realną i niezmienną została znowu jak przed nieprzelicznymi wiekami, gaz, palący węgiel, którego pochwylenie odpokutował ongi, Prometeusz przybiciem rąk do skały Kaukazu”. To pierwsza ocena — geologiczna. A druga? Druga — to obraz trupa pięknej i młodej dziewczyny, zgwałconej i zamordowanej. Obraz wiecznego okrucieństwa i wiecznej zbrodni. Od strony biologii historia staje się zawsze bezsenssem. I oto rewolucja jest wybuchem niepotrzebnego okrucieństwa, ponieważ nie zmienia człowieka, to znaczy nie zmienia jego behawioru, Żeromski w behawiorach człowieka próbował odnaleźć sens rewolucji. Nie on jeden.

Radykalizm inteligencji przejął po utopijnym socjalizmie apokaliptyczny mit rewolucji. Mit, którego istota było przesądzenie że przemiana dążeń, pragnień, namiętności i uczuć ludzkich nastąpić może niezależnie, albo przynajmniej równocześnie ze zburzeniem starych form gospodarczych i społecznych. Apokaliptyczny mit rewolucji utosił ją z okresu historii, z dniem narodzin nowego człowieka, dniem Sądu Ostatecznego, w którym zostaną zgładzone wszelkie nieprawości świata. Apokaliptyczny mit żądał od rewolucji wszystkiego, albo nie chciał niczego, i Żeromski wyrzeka się rewolucji, ponieważ Kaliban po zburzeniu caratu nie przeistoczył się w anioła, ale mordował, rabował i gwałcił.

3. Upiór Szeli.

Nikt z czytelników „Przedwiośnia” nie zapomni „kawałci, kożuszków, śmieciaczki, rogalków, ciastek, miodu i konfitur”, które stary Maciejunio podawał na śniadanie do stołu w Nawłoci. Dobrze tam jedzono i piękne były konie, którym jedwabista sierść codziennie szorował eta jenny Jedrek. Nie to nas dziwi. Dziwi nas nieoczekiwana, gwałtowna i namiętna apostoła Żeromskiego. „Kiedyś nadejdzie podły dzień — pisze — iż tenże Jedrek posiądzie odwagę i zdoła się na siłę, żeby jasnie pana chwycić za gardło i bić w kufę względnie w mordę? Czy też Maciejunio da radę, czy potrafi wypchnąć jasnie dziedziczkę za drzwi główne, właśnie w pazury molochu? Czy potrafi wpuścić biedę okolicznych wsi, ażeby nareszcie zobaczyła co to tam jest, co się mieści w salonie, w środku tego starego dworu, bardziej niedostępnym i bardziej tajemniczym dla tłumy niż święty kościół w Nawłoci...”

Maciejunio to poczciwy, stary lokaj, Jedrek — parobek i ordynans fanatycznie przywiązany do pana. Aby zrozumieć owo nagłe i niespodziewane nawoływanie Maciejunia i Jedrka do rzuci własnych panów musimy w paru słowach przypomnieć, jak Żeromski widział polską wieś.

W środku obrazu — Nawłoc: dwór, ksiądz, oficer, ubodzy krewał z Ukrainy, wszyscy bez przerywania jedzą, piją, bawią się i objężdżają konie; dalej służba, zakochana w swoich panach. Za dworem wieś. Chłopi „lubili gadać i słuchać tylko o tułajstwie, o realnym, o widocznym, dotykającym... Wszystko musiało być na przykładzie z tej okolicy, wszystko musiało tu być się przydarzyć i o tutejsze stosunki zacząć. Inaczej było obce, dalekie, nienależne, zaświatowe, a więc nieinteresujące. Wszystko, cokolwiek mówili i czynili się interesowali, zahaczało się o jado i napitek, obracało się dokoła opalu i odzienia, przeżyłcia zimy i przedwiośnia, a doczekania drugiego lata. A na drugie lato i drugą jesień będzie znowu to samo: wyrobic, wydębić z okrutnej, twardej ziemi tyle, żeby przeżyć całą zimę bez głodowania, przetrzymać przedwiośnie — i znowu dalej — do nowego”.

I czwarty obraz — bezrolni: „Życie komorników było nędzne nad wyraz. Latem wychodzili na zarobek w bogatsze okolice... W czasie wojen rozmnożyli się, narodziłi i wypelnili wioski i wioszczyzny. Wojny nie wygubiły ich, lecz właśnie rozplenily im nie przydajac... Czekali cierpliwie żyjąc w swych kątach, — na cudzym przy-

kominiu, śpiąc na ławkach po zapleckach, nie mając własnego domu i nie mając nic zgola, coby swoim nazywać mogli... Stanieli się po drogach, jako dziady, tukli się po dziedzińcach zabudowań, płacząc, się i nie wiedząc w co ręce zaczepić. Jakże straszna była ich zima! Jakże potworne wśród nich grasowały choroby!... Przez szpary w wrotkach stodołek przypatrywał się Cezary starcom i staruchom, wywleczonym z ogranych chałup przez dzieci i wnuki zdrowe „na umarłe”, w mróz, zawieje, — złożonym na snopku kłoci, aby prędzej „doszli” i nie zadreżali żywych, spracowanych i głodnych swym kaszlem, charkaniem krwią, albo nieskończonymi jękami. Podziwiał tę pierwotną, barbarzyńską bezlitość, która jest nieunikloną ekonomią życia, życia takiego, jakie jest na wsi”.

Przerazający jest obraz wsi w „Przedwiośniu”. Przerazający, ale martwy. Jest to wieś, która nie dojrzała jeszcze do ruchów społecznych i politycznych, wieś, pogrążona w bezruchu, wieś podległa jedynie przemianom biologii; niezmiennemu rytmowi narodzin i śmierci, lata i zimy. Jest to obraz wsi fałszywy, obraz wsi z czterdziestych lat zeszłego wieku, a nie z roku 1921. I dlatego Żeromski dostrzega jedynie dwie możliwości. Albo dalsze, trwanie potwornej Nawłoci, jak złośliwa narość, rosnącej na nędzy chłopskiej, albo też rzeź, palenie dworów, niszczenie dobytku, wbi janie na pal lub rżnięcie żywcem. Posłuchajmy tylko Cezarego: „Chwyć po pijanemu Hipolita za szyję i namiętnie szepał mu do ucha: — Strzeż się bracie! Pilnuj się. Za tę jedną srebrną papierosnicę, za posiadania kilku srebrnych tyłek, ci sami, wierz mi, ci sami, Maciejunio i Wojcunio, Szymek i Walek, a nawet ten Józio, wywieją cię do ogrodu i głowę ci rozwałą siekierą...”

Dla Żeromskiego klasowy ruch chłopów — to rebelia, pijana czern, rozbijająca siekierami wrota dworu. Żeromski strasz w „Przedwiośniu” upiorem Szeli. Ale Szela nie żył już od lat osiemdziesięciu. Szela nie mógł się zjawić w Nawłoci. I dlatego zamiast dramatu społecznego o wsi, mamy tylko tragedię miłosną. Zamiast Szeli zjawia się Laura; i jeszcze dwie inne kobiety, rozkochane w Cezarym. Dramat Nawłoci przemienia się w dostojewszczyznę, i to najgorszego gatunku. Cezary swoją kochankę wali po twarzy szpicrutą, a druga jest trucicielką. Wojcunio i Maciejunio podają wśród tego wszystkiego bez przerwy do stołu. Nic dziwnego; w roku 1921 mogli żądać reformy rolnej bez odszkodowania, głosować na „Wyzwolenie”, ale nigdy z cepami i widłami maszerować na dwory.

4. Film polski.

Wielką krzywdę wyrządzono Żeromskiemu, przerabiając jego powieści na film. Były to bardzo złe filmy. Wydobyły one, ukazały i odsłoniły z przerażającą jasnością to wszystko, co w powieściach Żeromskiego było, bądźmy szczerzy, tandetą artystyczną i myślową. Scenariusze z niesłychaną zresztą wytrwałością Żeromskiego „Tredowata”, albo mówiąc ściślej, melodramat, który tkwi na dnie każdej jego powieści. Wydobyły to, co było najłatwiejsze, miódopoliszczynie, i to młodzieżowe intelektualnie. Ona dzisiaj najbardziej przeszkadza czytać Żeromskiego. Posłuchajmy tylko: „Kochala znowu Szymona Gajowca, sekretnie, skrycie, na śmierć — jak wtedy. Była znowu na śmierć kochana przez tego wysmukłego pięknego młodzieńca — jak wtedy. (W roli Gajowca — Brodzisz). Przeżywała swój niemy romans. Czekła znowu na jego wyznanie, — długo, tęsknie. Ale on nie powiedział jej nigdy ani słowa. Ani jednego westchnienia, ani jednego półsłóweczka. Tylko w tych ciemnych, głębokich oczach jego plonie miłość. (Długie zbliżenie: w oczach Brodzisza plonie miłość). Och, nie romans, nie miłośćka, nie radosny flirt, lecz posępna miłość. (Muzyka gra „Lohengrina”). Jakże mógł osmielić się na wyznanie miłosne jej, pannie z „domu” Siedleckiego on, biedny kancelista z „Palaty” a nadto pochodzący z chłopów podlaskich, czy tam z jakiejś drobnej, zagadkowej szlachty? (Jest uderzające, że lekko u Żeromskiego zjawia się chłop, to musi on być w jakiś sposób przynajmniej zagonowym szlachcicem). Toteż milczał aż się domilczał! Przyjechał Seweryn i wydano ją bez gadania. Wspominała znowu odjazd swój z mężem do Rosji. Stoi oto w oknie wagonu. (Jedwigę Smosarską z kwiatami w oknie wagonu, widać wyraźnie zamazany napis PKP)

uśmiechnięta, szczęśliwa, młoda mężatka. Mnóstwo ludzi, wszyscy znajomi, całe miasto. Gwar, kwiaty, uściski, pozdrowienia, życzenia. A w głębi peronu zdała sam jeden, oparty o framugę okna — tamten. (Drugie zbliżenie z Brodziszem; oczy zasłania rękawem raglana). Jęk przesyłał duszę na nowo. (Muzyka znów „Lohengra”). Widziała jego oczy i uśmiech pełen śmiertelnej boleści. (Trzecie długie zbliżenie z Brodziszem; uśmiecha się pełen śmiertelnej boleści). Wspominała dni dawne, uroczne chwile, kiedy przechadzali się nad wodą stawu w Seŕule, nad wodą niezapomnianą, pokrytą wodnymi liliami. (Pierwszy plein air: staw w ogrodzie Saŕskim). Pamiętała każde jego słowo owocne, cichą rozmowę o unii podlaskiej, o mecenstwach, katowaniach, przymusach. (Kozacy rozpedzają tłum chłopów w łapciach, po chwili wszystkie nieruchomieją w bezruchu i zastają w żywy obraz według Grotgera). W duszy jego unia podlaska i cała owa krajina smutna a pełna tajemnicy, miała jakgdyby kaplicę swoją. On to jeden wiedział o wszystkim, wszystko znał z aktów (Brodzisz przegląda akta z napisem „tajne”), z papierów urzędowych (Brodzisz czyta grubą książkę), z tajemnych raportów (Brodzisz czyta w nocy przy świetle tajemne raporty). On jeden stał nad drogami tego kraju jak samotny krzyż. (Brodzisz nieruchomieje o zmierzchu na polnej drodze, potem zupełnie ciemno, potem krzyż przy świetle księżyca). Jej tylko jednej powierzał sekrety. I tak go oto zdradziła... Wspominała wycieczkę jedną do Drohiczyzna, drabiniastymi wozami, w licznym towarzystwie młodzieży. (Plein air całe towarzystwo w strojach regionalnych; muzyka gra melodie ludowe). Jakże było wesoło, jaka wiosna była w duszach.

To naprawdę Żeromski. Daje słowo, że nie dodałem ani jednej litery.

5. Wielka powieść.

A jednak „Przedwiośnie” to wielka powieść i pod pewnymi względami jedyna wielka powieść dwudziestolecia. Wielka przez odwagę sądu moralnego. Żeromski jedyny zakwestionował nie celowość polityczną wyprawy kijowskiej, ale prawo moralne Polaków do Ziemi Wschodnich. Żeromski w wyprawie kijowskiej dojrzał nieszczęsną próbę „intronizowania” spowrotem podła Gagę do pałacu na Ukrainie, gdzie już pewnie jest teraz wiejska szkoła”. Żeromski w „Przedwiośnie” w roku 1924 pisał: „Tam jest ziemia ruska i lud ruski. Mamy tu Polacy ziemię polską i lud polski. Mamy wolność. O tym, żeby się tam spowrotem pchać, nawet nie należy marzyć, nie tylko myśleć”.

Żeromski w postaci wiceministra Szymona Gajowca nie pokazał nam tego biurokraty, marnego człowieka, karierowicza czy głupca. Żeromski, mierząc się z Szymonem Gajowcem, mierzył się z obowiazkiem człowieka w jego optimum. Pokazał właśnie obowiazek człowieka „czystych rąk”, którym początkowo tak pyszniły się rządy sanacji, człowieka o gorącym sercu i otwartej głowie, „państwowca”, wyrosłego z walk o niepodległość. I Żeromski zakwestionował prawo moralne rządów Gajowca. Za Szymonem Gajowcem, za „człowiekiem czystych rąk”, za „właściwym człowiekiem na właściwym miejscu”, za mądrym, dobrym pracownikiem Gajowcem, pokazuje Żeromski w „Przedwiośnie” „ogromny cień polskiego politycznika, który ma prawo — prądem elektrycznym dosięgać, wkładać ołowię między palce, a potem je ścisnąć maszynką”. Za Szymonem Gajowcem, za obronę trwałości polskiego państwa i polskiej racji stanu pokazuje Żeromski nierozcięty wrzód Nawłoci i gnębienia w imię polski niepodległości, niedź wsi i wyzysk robotników. „Lud zgłodniały po wsiach, lud spracowany po fabrykach, lub bezdomny po przedmieściach, życie Żydów splotzonych w gettach. To nie Cezary Baryka, ale Stefan Żeromski rzuca w twarz Gajowcowi: „jedyną waszą mądrością jest policja, no i żołnierz”.

Po „Przedwiośnie” cała reszta literatury dwudziestolecia wydaje się mdła, czcza i mialka. „Przedwiośnie” to wielka powieść społeczna. Kaden — to tylko polityczne szacharki.

Jeden Żeromski miał odwagę zapytać o sens historyczny i prawo moralne trwania Polski opartej na niesprawiedliwości, wyzysku i gwałcie. Ostatni Żeromski podjął w „Przedwiośnie” romantyczną tradycję literatury uniemia narodu. Wielka literatura stwarza obrazy, będące dziełami i symbolami historii. I w całej powieści dwudziestolecia nie znajdziemy bardziej wstrząsającego, bardziej namiętnego i bardziej prawdziwego obrazu i skrótu historii polskiej międzywojennej jak marsz Cezarego Baryki na Belweder w tłumie robotników wyrzuconych z pracy przez fabrykancki lokaut

Jan Kott

STANISŁAW MAJEWSKI

Organizowanie międzynarodowej współpracy kulturalnej

Rząd Jego Królewskiej Mości zaprasza na dzień 1 listopada 1945 r. do Londynu wszystkich ministrów oświaty Narodów Zjednoczonych na konferencję, która ma powołać do życia Organizację Narodów Zjednoczonych dla Wychowania i Kultury. Warto więc zapoznać się z głównymi projektami dotyczącymi tej organizacji. Miejmy nadzieję, że okaże się żywo interesującą i, trwalszą, aniżeli Międzynarodowy Instytut Współpracy Intelektualnej, powstały w r. 1922 przy Lidze Narodów.

Organizacja międzynarodowej współpracy kulturalnej, które do roku 1939 istniały przy Lidze Narodów, przestały faktycznie żyć po wybuchu wojny światowej. W związku z wojną powstały nowe organy współpracy w dziedzinie nauki, które jednakże miały całkiem specjalne, koniunkturalne cele. Służyły mianowicie wzajemnej wymianie informacji o postępach badań naukowych w dziedzinie nowych militarnych środków technicznych — w lotnictwie, broni pancernej, statkach wojennych nad- i podwodnych i w ogóle wszelkiego rodzaju wynalazkach, nad którymi wszystkie kraje walczące gorliwie pracowały w nadziei zdystansowania przeciwnika. Inne cele międzynarodowych kulturalnych organizacji — moralne, humanitarne, ideologiczne i utylitarne zawieszono na kolku: inter arma silent Musae. Te organizacje koniunkturalne, służące jedynie celom militarnym, były następujące: Brytyjskie Biuro Naukowe w Waszyngtonie, Misja Naukowa Stanów Zjednoczonych w Londynie, Francuskie Misje Naukowe w Londynie i Montrealu i Brytyjskie Biuro Naukowe w Czongkingu.

Gdy wojna światowa dobiegała końca, wymienione wyżej organy międzynarodowej współpracy naukowej dla celów militarnych traciły rację bytu i ich pracownicy naukowcy zaczęli rozglądać się za sposobami takiego ich przekształcenia, aby mogły się pożyte swego koniunkturalnego, z wojną związanego, charakteru i przetrwać na cele nowsze i bardziej trwałe, w czasie nadchodzącego pokoju światowego. Największy rozgłos uzyskał projekt D-ra J. Needhama, dyrektora Brytyjskiego Biura Naukowego w Czongkingu. Zaproponował on w marcu—maju 1945 roku powołanie do życia Międzynarodowej Organizacji dla Współpracy Naukowej (International Science Cooperation Service (w skrócie ISCS), która:

- 1) popierałaby współpracę naukową, zarówno w dziedzinie nauki czystej, jak stosowanej;
- 2) gromadziłaby i rozpowszechniała wyniki badań naukowych;
- 3) układałaby plany współpracy w dziedzinie badań naukowych;
- 4) ułatwiałaby między krajami wzajemną wymianę naukowców i ich wyjazdy zagranicę;
- 5) byłaby organem doradczym w sprawach nauki dla rządów poszczególnych państw i dla Organizacji Narodów Zjednoczonych;
- 6) udzielałaby pomocy naukowej innym organizacjom międzynarodowym.

Jak widać z tego zestawienia celów, projektowana przez Needhama organizacja ISCS zrywa wprawdzie ze skrajnym utylitaryzmem i koniunkturalnym militaryzmem organizacji naukowych, powstałych w czasie wojny, ale z wywodów jego, uzasadniających potrzebę ustanowienia nowej organizacji, wynika, że chodzi mu głównie o nauki ścisłe, szczególnie matematyczno-fizyczne i ich zastosowanie w technice.

Tymczasem z zakończeniem wojny stanęły narody świata przed jeszcze ważniejszym zadaniem — odbudowy moralnej społeczności w duchu pokoju i — last but not least — ideowego i praktycznego humanitaryzmu, gruntownie rozgromionego przez wojnę i towarzyszące jej objawy zdziżenia, a jeszcze bardziej przez destrukcyjne, mniej gwałtowne, ale dłużej trwające, wpływy ideologii i praktyk faszystowskich.

Zagadnienie odbudowy moralnej społeczności rozpatrywali na kilku konferencjach ministrowie oświaty Narodów Zjednoczonych. Na jednej z nich wystąpił z konkretnym projektem Dr Grayson N. Kefauver, delegat Stanów Zjednoczonych A. P. Zaproponował on powołanie Międzynarodowej Organizacji dla Wychowania i Kultury (United Nations Educational and Cultural Organisation, w skrócie podług inicjałów *Unesco*, czyli *Juneko*), której najważniejsze cele byłyby następujące:

- 1) pomóc narodom wyzwolonym, których kraje zostały zniszczone przez wojnę, w odbudowie bibliotek, zbiorów sztuki, muzyki, archiwów i urzędów szkół i w ogóle instytucji kulturalnych;
- 2) pomóc w odbudowie ich kadr technicznych i zawodowych;
- 3) prowadzić badania w zakresie kształcenia osób fizycznie wronionych;
- 4) prowadzić badania w zakresie wychowania dzieci i młodzieży w krajach, które były okupowane przez państwa b. osi;
- 5) okazać pomoc doradczą władzom okupa-

jącym kraje b. osi w zakresie kontroli wychowania;

6) przeprowadzić studia i ogłaszać ich wyniki w zakresie podstaw ideologicznych nowoczesnego świata;

7) ułatwiać swobodny obieg idei, wiadomości i informacji pomiędzy krajami, przez wymianę prac literackich i artystycznych, filmów i programów radiowych, nauczycieli i studentów;

8) organizować spotkania specjalistów z różnych dziedzin nauki i w ogóle działalności kulturalnej;

9) utworzyć międzynarodową bibliotekę, inne międzynarodowe instytucje kulturalne, organizować międzynarodowe studia dla nauczycieli i wychowawców, wydawać czasopismo i publikować monografie międzynarodowe;

10) badać poczynania wychowawcze z czasów wojny, obmyślać programy kształcenia, które służyłyby utrwaleniu pokoju powszechnego.

Jak widać z tego zestawienia celów, Dr Grayson N. Kefauver w swym projekcie organizacji *Unesco* kładł główny nacisk na wychowanie w powym duchu, na sztukę i nauki humanistyczne, na pomoc dla krajów zniszczonych, na utrwalenie pokoju i usunięcie z życia wpływów faszystowskich.

Projekt *ISCS* i projekt *Unesco* są jednostronne i nawzajem się uzupełniają tak, że utworzenie jednej organizacji nadzecznej, łączącej cele obu, zaspokoiłoby dopiero potrzeby współczesnej kultury w dziedzinie współpracy międzynarodowej. To też w lutym 1945 r. czynnik rządowy w Waszyngtonie wystąpił z projektem rozszerzenia projektowanej organizacji *Unesco* tak, aby mogła objąć również cele, do których zmierzałaby organizacja *ISCS*. — Dla nadania dobitnego prądu temu rozszerzeniu celów Komisja Naukowa Konferencji Ministrów Oświaty przyjęła 10 marca 1945 r. rezolucję, która zaleca wprowadzenie do nowego projektu organizacji *Unesco* określenie dodatkowego „scientific, „for the advancement of knowledge and culture”, tak by pełna jej nazwa brzmiała: Organizacja Narodów Zjednoczonych dla Wychowania, Wiedzy i Kultury, po angielsku *United Nations Educational, Scientific and Cultural Organisation*, albo w skrócie podług inicjałów „*Unesco*”.

Ten projekt rozszerzonej organizacji międzynarodowej współpracy kulturalnej został na Konferencji Ministrów Oświaty Państw Sprzymierzonych w lipcu 1945 r. ujęty w formę ramowego statutu, którego opublikowanie w dniu 1 sierpnia 1945 r., a następnie przesłanie go rządom zainteresowanym powierzyła Konferencja rządowi brytyjskiemu z tym, że równocześnie z wydrukowanym projektem statutu rozśle on zaproszenie na nową Konferencję Ministrów Oświaty Narodów Zjednoczonych na dzień 1 listopada 1945 r. w Londynie. Na tej konferencji, na którą i Polskę zaproszono, odbędzie się dyskusja nad projektem statutu i zostanie uchwalona jego osta-

teczna forma oraz nazwa mającej powstać międzynarodowej organizacji dla współpracy kulturalnej.

Wedle zrewidowanego projektu statutu organizacja ta miałaby następujące organy: Konferencję, Wydział Wykonawczy i Sekretariat z dyrektorem generalnym na czele. W skład konferencji wchodziłyby złożone z pięciu członków delegacje poszczególnych państw. Wydział Wykonawczy składałby się z 15 członków pochodzących z możliwie najbardziej różnorodnych stref geograficznych. Hołogowy skład osobowy Sekretariatu byłby nieustalony i zależny od potrzeb organizacji. Wszystkie państwa bez względu na swoją wielkość byłyby całkowicie równouprawnione. Konferencja zbierałaby się raz w roku na sesję zwoływającą, Wydział Wykonawczy mógłby zwoływać konferencję na sesję nadzwyczajną. Projekt przewiduje powstanie w obrębie kraju sekcji narodowych, czy komisji dla współpracy z zagranicą, w których skład wchodziłby również zrzeszenia i organizacje nierządowe, które zajmują się lub są zainteresowane sprawami oświatowo-kulturalnymi.

Głównym zadaniem organizacji będzie odbudowanie kultury w krajach zniszczonych przez wojnę, upowszechnianie zdobyczy kulturalnych i nadawanie instytucjom kulturalnym, szczególnie wychowawczym, takiego kierunku, aby one przyczyniły się do wzajemnego rozumienia się narodów i utrwalenia pokoju świata, do stabilizacji stosunków politycznych i gospodarczych i podniesienia powszechnego dobrobytu.

Art. 57 Karty Narodów Zjednoczonych, ułożonej w San Francisco, przewiduje utworzenie kulturalno-oświatowej organizacji Narodów Zjednoczonych. W myśl Karty ma ona mieć charakter organizacji wyodrębnionej, która powinna pozostawać w łączności z naczelnymi Organami Narodów i z innymi organizacjami wyodrębnionymi. Łączność ta zostanie ustalona na podstawie odpowiednich porozumień między kulturalno-oświatową organizacją, a naczelnymi organami Narodów Zjednoczonych i innymi organizacjami wyodrębnionymi. Porozumienia „takie określają wzajemny przydział kompetencji i odpowiedzialności, metody współpracy oraz rodzaj i ilość mających między nimi powstać wspólnych komitetów.

Układaniu Karty Narodów Zjednoczonych patronowało zdanie panujące, przewidziane, że Liga Narodów i związane z nią organizacje nie spełniły pokładanych w nich nadziei i nie wykonały swych zadań. Projektując więc nową organizację Międzynarodowej Współpracy Kulturalnej, chcieliśmy uniknąć błędów organizacyjnych dawniej popełnionych.

Materiałów dotyczących projektu dr J. Needhama dostarczył mi łaskawie prof. Miłobolaj Olekiewicz z Uniwersytetu Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Jeszcze straty wśród polonistów

W artykule ob. H. Sobóppera (Kuznica Nr 4-5 z 1 września) wymieniono nawet polonistów, którzy nie pozostawili po sobie żadnej pracy drukowanej, mimo to pominięto m. in. takich, którzy nauce polskiej przysporzyli sporo trwałych, wartościowych prac naukowych. Wamieniam tu szereg owych pominiętych.

A więc przede wszystkim dra Edwarda Kilię, profesora języka polskiego na Uniwersytecie Poznańskim. Zamordowany przez Niemców jeszcze w 1939 r. Był autorem licznych i cennych prac z zakresu dialektologii i historii języka polskiego; dał też prace z zakresu dialektologii białoruskiej. Był w Polsce, po śmierci niedożałowanego Jana Rozwadowskiego, jedynym znawcą języka cygańskiego.

SPROSTOWANIE

Za opuszczenie całych ustępów i zniekształcenie mego artykułu pt. „Warszawa, miasto wieczne” wydrukowanego w pierwszym numerze pisma „Skarpa Warszawska” nie odpowiadam.

Ewa Szalburg-Zarembina
Łódź, dnia 26.10.1945.

SPROSTOWANIE

W poprzednim (10-tym) numerze „Kuznicy” zostało zniekształcone drugie zdanie (w. 3-ci — 5 od kóry) w artykule A. Schaffa: „Rewolucja październikowa u Polaka”, oraz 9-te zdanie (w. 26—28 od kóry) w recenzji S. Żółkiewskiego: „Wiosna 1944”. Zdania te winny brzmieć:

1) Ista całe pracowała reakcja na tym, by zaciemnić sprawę początków niepodległej państwowości polskiej i stosunku do niej rewolucyjnej Rosji.

2) Faszyzm, a nie upadek etyki jest doprawdy najgroźniejszą formą demoralizacji.

Redakcja.

Od bomby, zginął w czasie oblężenia Warszawy dr Józef Morawski, profesor filologii romańskiej na Uniwersytecie Poznańskim, autor szeregu prac z zakresu wpływu języków francuskiego i hiszpańskiego na język polski.

Oto zaś inni, których okoliczności śmierci nie są mi dokładnie znane. A więc dr Otłerd Chomilski, wykładający język polski na Uniwersytecie Wileńskim — dialektolog, autor wydanej przed samą wojną cennej mapy języka litewskiego w granicach Rzeczypospolitej Polskiej.

Dr Władysław Patowski, nauczyciel gimnazjum polskiego w Gdańsku, badacz zewnętrznych dzieł języka polskiego w Gdańsku oraz skrzepny bibliograf raczy kaszubskich.

Inżynier Karol Stadtmüller, niezmiernie wytrwały i staranny zbieracz i układacz słowników — małych i wielkich — z zakresu techniki (rzemiosł i t.).

Mgr Wiktor Weglarz, autor szeregu prac z zakresu języka polskiego.

O tych wszystkich polonistach mam pewne wiadomości, że rozstali się z życiem w latach wojny i okupacji niemieckiej. Z przypadłych, jak dotychczas bez wieści, nie mogę nie wymienić dra Adama Tomaszewskiego, docenta języka polskiego na Uniwersytecie Poznańskim, autora szeregu trwałych, cennych prac z zakresu dialektologii wielkopolskiej; badał również język Kaszubski.

HENRYK ULASZYN

Związek Zawodowy Literatów Polskich O.I. dział w Łodzi wobec dużego zainteresowania jakie wywołał konkurs na utwor literacki z życia chłopkiego lub robotniczego — przedłuża termin nadsyłania prac konkursowych do dnia 31 grudnia 1945.

Przy sposobności Związek przypomina, że prace konkursowe winny być naporządkowane w zd. dla w załączonej koncepcie należy podać oprócz godła imię, nazwisko i adres autora. Prace należy nadsyłać pod adresem oddziału ZZLP w Łodzi, Bandarskiego 8/3.

„Stary Dworek” *)



Adam Ważyk

Wydanie trzyaktowej sztuki Adama Ważyka pod tym tytułem jest doniosłym wydarzeniem literackim. Pokazuje bowiem jak czynnik polityczny w literaturze umożliwił zupełnie nowe i szczególnie wymowne zorganizowanie innych elementów treściowych i kompozycyjnych w utworze. Tak już wypracowanych przez dotychczas tradycję literacką, że wnoszą ze sobą do twórczości właściwy naszemu typowi literatury smak technicznej i psychologicznej doskonałości. „Przez swą polityczność dramat Ważyka przypomina wcześniej w „Kuznicy” omówiony utwór Biełkowskiej. Lecz tamten był literacko uboższy, na jednej stronie wygrany. Przez to na pewno za surowy. Tym niemniej — czy też dzięki temu problem polityczny występował tam ostrzej. U Ważyka raczej służy do zorganizowania innej bogatej problematyki. Akcja sztuki omawianej rozgrywa się wiosną 1944 r. Wtedy to samodzielne ruchy emancypacyjne chłopów i robotników znalazły swój wyraz polityczny w zorganizowanej partyzancie — antyemigracyjnej. Wszystko — co było cieniem przeszłości — co chciało tylko „przeżyć”, noc okupacji i powrócić do swego stanu posiadania głosiło bierność jako hasło polityczne i narodowe. Żył fałszywy mistyka absurdalnych przepowiedni. Zarysowująca się w postaci typowego zbrodnictwa zamachu polityczna walka klasowa między tymi obozami, stanowi wyidealizowaną — sam utwór będzie niejako ekspozycją politycznego konfliktu jest raczej poświęcenie kilku indywidualnym dramatom; wynikającym z zetknięcia się z polską okupacyjną rzeczywistością przedstawicieli różnych grup społeczeństwa naszego, przedstawicieli o typowych profilach wewnętrznych, o typowej dla danej grupy filozofii, hierarchii wartości kulturalnych, obyczajach, tęsknotach i dominujących często nad ich świadomością klasowych imperatywach.

Byliśmy krajem rolniczym. Sprawy polskiej typowym przekroju łatwiej zobaczyć wyjmując jedną stronę wiejskiego dworu — aniżeli jakiegokolwiek domu miejskiego. To też w starym dworze Ważyka spotyka się cała Polska. Stare i młode pokolenie obszarników. Pierwsze w pełni poczucia słusności swych przywilejów, aspołeczne, egoistyczne, konsekwentne. To stara pani Stanička, Młode — syn jej Michał Stanička już za życia wykreślony przez historię z rzeczywistej karty dziejów polskich. Pusty, niepotrzebny, bez walki rozbrojony. Nie usprawiedliwiają go śmiech, dydaktyczność, kolekcjonerskie manie; karykatura misji kulturalnej żalosnego spadkobiercy niegdysz przodującej klasy.

Najciekawszą postacią jest jego żona. W tym motywie najłatwiej dostrzec siłę i słabość sztuki Ważyka. Z doskonałą pasją zdemaskowana jest w tej postaci „metafizyka inteligentka”. Rzekoma głębia — szukanie sensu życia, ostry widzący pustki świata, w którym się żyje i niezdolność podjęcia ostatecznych konsekwencji. Helena Stanička — w końcowej rozmowie z oficerem partyzanckim — uzasadnia, że nie ja w tym dworze nie zatrzymuje, wszystko odycha, i po tym rachunku sumienia... zostaje. Jest wiele siły dramatycznej w tej celnej, wymownej dwojzji. O tym gęście zadecydowały tylko względy klasowe. Ważyk umiał (o przejmującym przekonaniu) zawieść nad tym wszystkim cień po ludzku groźnej beznadziei. Lecz ten bogaty, zespół problemów, który jest lewitacją utworu wobec wymagań wielkiej tradycji literackiej — jednocześnie osłabia nowatorstwo politycznej perspektywy sztuki. Wiąże ją mniej z niepowtarzalną aktualnością — bardziej z typową tradycją podrobnych rozrachunków, że przypomnie tylko konflikt słowny „Wisińskiego sadu”. I tam wobec wielkiej, koniecznej przemiany wewnętrznej z gruntu niemoralnymi przyzwyczajeniami, a nie twórczymi pasjami na miarę historyczną. Lecz w tym małym dworze mamy i bardzo realistycznie narysowany świat chłopów. Z jego tragicznym rozdarcie: z jednej strony partyzancji z A. L., z drugiej trzymanej z bronią u nogi na pańskim pasku przez

notorycznego faszystę-leśniczego żołnierza z wiejskiej kompanii A. K. Wśród tych chłopów jest i inteligent Galiniec, oficer sztabowy A. L. Ten człowiek wiele ma z subtelnej i głębokiej inteligencji autora, który jego oczyma sądzi i ocenia rzeczy. Patrzy surowo i prawdziwie na obie strony spotykające się w ciasnocie małego dworku. Gdy partyzanci wnoszą rannych, tłuka beznadziejnie zbiorczy dziedzic, Helena cieszy się z tego, chłop Józef jest pełen pogardy dla pańskich wymysłów. Lecz raczej ma Galiniec, gdy staje w obronie zbiorczy i mówi do Heleny: — „Tobie wystarczy, że czegoś nie lubisz, a ten jeszcze w ogóle nie zna wartości”.

Cały dialog w sztuce Ważyka odznacza się celnością, nie ma tam pustych miejsc, wszystko co się mówi jest potrzebne, charakterystyczne. Celowy wybór i kondensacja poruszonych zagadnień — powoduje podniecające przy lekturze zagęszczenie problematyki intelektualnej.

Byłoby nieporozumieniem mniemać, że sztuka Ważyka trafi tylko do wytrawnego odbiorcy literackiego. Za tym możeby przemawiał poziom i charakter wyliczonych problemów utworu. Ale w rzeczywistości tak nie jest. Sprawa dramatu jest rysowana tak ostrym i mimo wszystko prostym konturem, że przemówi i to silnie nawet do bardzo nieprzygotowanego widza. Jeśli ten ostatni nie wysmakuje wszystkich wartości sztuki — na pewno taki przez swą polityczność aż nadto powszedni, jeszcze

do końca ciągle nie przeżyty dramat polski wzruszy go i przekona.

Należy z wielką niecierpliwością oczekiwać wystawienia tej sztuki. Będzie to pierwsze wielkie wydarzenie teatralne odrodzonej Polski.

Sprawa polska nareszcie rozegra się pod auspicjami zdecydowanej, konsekwentnej, swia domowej siebie lewicy społecznej.

Od pokoleń już czekamy na taki obrachunek. Niechże ten kipiący treścią i trafną oceną spraw dramatu będzie pierwszą pozycją zysków w tym bilansie.

Wystawia się u nas klasyków (i to jest dobrze), wystawia rzekomych klasyków (jak Pezrzyński) i to już prowadzi do społecznych dwuznaczności, a potem już królkuje kompromitujący bezsens komedijk bez humoru, bez treści, bez stylu. Jakby teatr nie był najlepszą trybuną polityczną. Jakby rzeczywistość literatura polska nie miała dziś nie do powiedzenia. To też wydaje się zupełnie niezrozumiałym i skandalicznym fakt, że sztuka Ważyka dotąd nie oglądała desek scenicznych. Z niepokojem pytamy dalszego? Bo kryć się za tym może tylko błąd, błąd o dużych i przykrych skutkach społecznych.

Błąd albo artystyczny albo polityczny.

Stefan Żółkiewski

*) Adam Ważyk: Stary Dworek. Sztuka w 3 aktach. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”; rok 1945, str. 61.

Akadem'a nauk w ZSRR

Nr. 5-6 „Więsnika” wyszedł w 1945, 15-ym roku istnienia tego wydawnictwa, w 220-tą rocznicę Akademii Nauk. Zeszyt, wydany luksusowo, został poświęcony jubileuszowej sesji Akademii, uroczystości, która związana z momentem zakończenia największej w dziejach wojny. Na treść zeszytu, poza oficjalnymi przemówieniami, składały się przekłady prac, dokonanych przez członków Akademii w całym okresie jej istnienia w różnych dziedzinach nauki: geografii, matematyki, fizyki, chemii, botaniki, fizjologii, historii, nadto przedstawienie osiągnięć Akademii w zakresie przygotowania jej kadr naukowych, podstawowych jej wydziałów i zakładów, zasobów archiwalnych i bibliotecznych.

W mowie otwierającej posiedzenie, prezes Akademii Komarow postawił zagadnienie związku między nauką i życiem i z tego stanowiska w swym zarysie dzieł Akademii wyodrębnił w nich trzy okresy: I okres, XVIII stulecie, pod znakiem Piotra W. i Lomonosowa, wiek rozum, racjonalistycznego ujmowania rzeczywistości, walki o światopogląd naukowy, uniwersalizmu we wszystkich dziedzinach wiedzy, encyklopedyzmu w twórczość naukowej; potrzeby życia wywoływały badania naukowe — określały ich kierunek. II okres, XIX i początki XX st., wiek, już nie tylko dążeń, ale wielkich pozytywnych zdobyczy, już nie encyklopedyczny lecz zróżniczkowanej nauki, poszczególnych jej dyscyplin, ogromu nagromadzonej wiedzy, podstawy postępu. III okres, ostatnie ćwierćwiecze, poświęcone badaniu socjalistycznego ustroju, czasy powszechnego stosowania nauki w życiu, gdy formy społeczne i sama przyroda kształtują zasady rozum i wiedzy, gdy komunizm naukowy prowadzi narody Związku drogą postępu, gdy nauka wolnych narodów rozwija się pod sztandarem demokracji.

W sprawozdaniu z zakresu historii Piczeta przedstawił dorobek naukowy słowiańszczyzny, począwszy od Lomonosowa, autora Historii Rosji, opracowanej na zamówienie cesarzowej Elżbiety, przy czym podkreślał rewizję dotychczasowego lekceważącego stosunku do Lomonosowa, podjęta zwłaszcza przez historyków radzieckich (Grekow) w czasie wojny. W I okresie zapoczątkowali prace sławisci, historycy Słowian, wydawcy źródeł. W II okresie, w pierwszej połowie XIX w. powstały specjalne katedry słowiańszczyzny, organizacja badań, wzorowana na pracach historyków czeskich, badania naukowe w zakresie stosunków bizantyjsko-słowiańskich, później zachodnio-słowiańskich; w drugiej połowie stulecia tzw. petersburska szkoła zajęła się głównie historią agresji Niemiec, ideologiczna podstawa pangermanizmu, badaniem kultury zaginionych Słowian połabskich i nadbałtyckich, miast nadmorskich, historia poszczególnych państw słowiańskich (Historia Polski — Pogodina). Po rewolucji kontynuowano prace w zakresie dzieł słowiańskich; w atak wojny powstała w Akademii Komisja Słowiańska, Wydział historyczny w Instytucie Słowiańskim; podjęto badania nad sprawami narodowościowymi na gruncie słowiańskim, dziejami wojen z agresją Niemiec; pracowano zarys historii poszczególnych państw, m. in. Polski, dzieje ruchów wyzwoleniczych narodów słowiańskich, m. in. walk powstańcze w Polsce XIX w.

Także przedstawił historie pracy Ak. N. nad dziejami Zachodu, prowadzona początkowo głównie w zakresie dzieł średniowiecznych; cenzura Mikołajowska nie przepuszczała żadnych prac z historii nowożytnej, począwszy od odrodzenia. Dopiero w 8 dziełach lat XIX w. jednocześnie wystąpił ze swymi pracami w zakresie powszechnych historii nowożytnej trzech uczeni: Karejew, Luczycki i Kowalewski, poświęcający swe badania przeważnie dziełom ekonomicznym i społecznym. W tym samym czasie rozwijała się praca niedawnych: Winogradowa, Pietruszewskiego i in., odrębne miejsce zajmował wielkiej miary uczyony Wipper. Uczeni ro-

syjscy interesowali się głównie ewolucją instytucji politycznych i form społecznych, w związku z warunkami gospodarczymi, sprawą chłopską, historią klasy robotniczej, historiozofia i metodologia marksizmu.

W czasach radzieckich przeprowadzono rewizję dawnych poglądów szkół idealistycznych; w zakresie tematyki pogłębiło się zainteresowanie dla okresów rewolucyjnych w dziejach Europy i Ameryki, zwłaszcza ruchów powstańczych i rewolucyjnych, w których decydującą rolę odgrywała klasa robotnicza. W ostatnich 15 latach wzrastało stale zainteresowanie dla historii politycznej, dyplomacji, polityki zagranicznej, która w okresie bezpośrednio po przewrocie prawie zupełnie się nie zajmowała. Pod redakcją Potemkina wyszła praca zbiorowa: Historia dyplomacji. W Związku Radzieckim powstał w Ak. N. Instytut historii, w którym ześrodkownie się praca historyków pod kontrolą Rady Naukowej, który nadto rozciąga opiekę nad młodymi pracownikami naukowymi. Oprócz Instytutu w Moskwie utworzono jego oddziały w Leningradzie, Pracom historyków sowieckich z lat 1917-1945 mają być poświęcone specjalne przeglądy w następnych zeszytach „Więsnika”.

O pracy Ak. N. w zakresie nauk, związanych z Bizancjum, w okresie przedrewolucyjnym przeprowadzonych, pisze Gorjanow, w okresie radzieckim — Piczeta. Uczeni rosyjscy, którzy opracowywali historię Bizancjum, interesowali się głównie zagadnieniami gospodarczymi, administracyjnymi, społecznymi itp. z dzieł wewnętrznymi, zwłaszcza sprawa włościań, własności ziemi, wspólnoty itd. (Wasiliewskij, Uspienski). W Konstantynopolu powstał rosyjski instytut archeologiczny. Historycy radzieccy kontynuowali prace swych poprzedników, główną uwagę zwracając na zagadnienia społeczno-gospodarcze i na walkę klasową.

O historii przygotowywania kadr naukowych w Ak. N. pisze Karatajew. Już Piotr W. tworząc Ak. N. narzucał jej podwójne zadania: prace badawczo-naukowe oraz kształcenie młodzieży. W r. 1747 utworzono przy Ak. N. pierwszy uniwersytet, który miał na celu kształcić pracowników naukowych oraz urzędników państwowych i wojskowych. W trzecim ćwierćwieczu XVIII stulecia uniwersytet przestał istnieć, ale pierwsi profesowie wykształcili całe pokolenie naukowców. W XIX w. powstała w Rosji sieć uniwersytetów; tworzyła się tradycja łączenia ściśle pracy pedagogicznej uniwersytetów z badaniami naukowymi, i te zasady wprowadziła w życie Ak. N. w okresie radzieckim, łącząc technikę i naukę, teorię i praktykę. Gdy przewrót polityczny i ekonomiczny zapewnił możliwość budowania podstaw socjalizmu, zwrócono się do przygotowania sił kulturalnych proletariatu i jego awangardy; usłowno zamknąć nożyce między zapotrzebowaniem specjalistów i tworzeniem się kadr.

Od 15 lat trwa kształcenie tzw. aspirantury, która została zreorganizowana w r. 1943. Pierwsi aspiranci wyszli w r. 1931, z każdym rokiem liczba ich wzrastała; aspiranci z kolei stawali się nauczycielami młodzieży, profesorami, pracownikami naukowymi, akademikami, kadrami dla oddziałów Ak. N. w republikach związkowych. Ak. N. przygotowuje kadry nie tylko dla swoich instytucji, ale również zasila inne zakłady. W czasie wojny aspirantura została chwilowo zlikwidowana; już jednak w r. 1942 nastąpiło jej wznowienie; w początkach 1945 r. liczba aspirantów była większa niż w czasach przedwojennych, liczyła przeszło 1500 członków, przy czym zwiększyła się zwłaszcza liczba doktorantów, dochodząc do 50 proc. ogólnej liczby; zmniejsza się natomiast kategoria aspirantów, którzy kontynuowali studia nie odrywając się od swej pracy zawodowej.

Na pierwszym miejscu miejscu stoją aspiranci nauk technicznych, ale wzrasta szczególnie w zakresie historii i filozofii. Teryto-

Kronika kulturalna

Z. S. R. R.

Nieco statystyki. Według ostatnich zestawień, na terenie Zw. Radzieckiego ukazało się między 1918 a 1945 rokiem 821 tysięcy książek i broszur o nakładzie łącznym ponad 10 bilionów egzemplarzy. W czasie ostatniej wojny nakładem wszystkich wydawnictw radzieckich ukazało się łącznie ponad 67 tysięcy książek i broszur o nakładzie 1 bilion egzemplarzy. W okresie tym przeważała oczywiście tematyka wojenna lub problemy związane z wojną. Od chwili upadku caratu ukazało się 27 milionów egzemplarzy klasyków literatury rosyjskiej. Dzieła Puszkina przełożone były na 72 języki w nakładzie 31 milionów egzemplarzy. Utwory Lwa Tolstoja doczekały się przekładów na 65 języków w nakładzie 24 milionów egzemplarzy. Największy nakład osiągnęły dzieła Gorkiego — 42 mil. egzemplarzy w 66 językach. Następnie idą — Czechow (57 przekładów), Lermontow (50 przekładów), Turgeniew (39), Gogol (34), Szewczenko (33 przekłady). Ze współczesnej literatury Majakowski osiągnął 44 przekłady na obce języki, Al. Tolstoj — 38, a Szolochow — 51. Z wojennych autorów, „Rosjanin” Simonow wyszły dotąd w 18 wydaniach w siedmiu językach o nakładzie 670 tysięcy egzemplarzy. „Front” Al. Kornieiczuka ukazał się w pięciu przekładach o nakładzie 470 tys. egzemplarzy. Jak wynika z przytoczonych cyfr, w Związku Radzieckim ukazują się największa liczba książek na świecie, przekraczająca znacznie nakłady amerykańskie i angielskie.

Biblioteka „Krokodyla”. Redakcja popularnego tygodnika satyrycznego „Krokodyl” przystąpiła do wydania „Biblioteki Krokodyla”, w której ukazywać się będą utwory satyryczne i humorystyczne. Pierwszy ukazał się tomik poświęcony humorowi frontowemu („Front śmieje się”). Następnie wyszły: Wasylj Lebediew — Kumacz „Małe felietony i humoreski”, Leonid Lenc, jeden z najdawniejszych humorystów radzieckich, „Satyry i opowiadania”. Wszystkie tomiki są bogato ilustrowane. Wkrótce ukaza się — Ila i Pietrowa „Wesoła jedynaczka”, W. Ardowa „Ozorkin”, N. Adunewa „Wedle rozkazu”, G. Riklina „Prawdziwe opowiadania”, M. Edelia „Szerokie serce” i in. Nakład każdej z tych książeczek — 100 tys. egzemplarzy.

Nakładem wydawnictwa Akademii Nauk ZSRR ukazała się wielka rozprawa naukowa znanego akademika radzieckiego R. Wippa — „Iwan Groźny”. W pracy tej akademik R. Wipper po raz pierwszy wykorzystuje liczne materiały, które charakteryzują Iwana Groźnego jako wybitnego meza stanu i polityka. Ciekawe materiały daje Wipper o sytuacji politycznej Liwonii przed wojną 1558 r. Wipper również wykorzystuje nieznane dotąd materiały Baltazara Rissowa, autora kroniki Liwońskiej. Większą uwagę autor poświęca walce młodego cara ze zdrajcami bojarów i ich sprzymierzeńców. Wojna ze Stefanem Batorem znalazła u Wippa nawskroś oryginalną charakterystykę. Krytyka sowiecka daje o „Iwanie Groźnym” bardzo przychylną ocenę.

Prasa radziecka ostatnio poświęca większą uwagę sprawom polskim. Moskiewski dwutygodnik „Nowoje Wremia” w Nr. 17 zamieszcza wstępny artykuł redakcyjny „Nowy krok w rozwoju przyjaźni radziecko-polskiej”. W Nr. 14 „Propagandysty” znajdujemy artykuł W. Gruzdewa „Polska współczesna”; D. Zaslawski, czołowy publicysta sowiecki, drukuje w „Prawdzie” artykuł „Odrodzenie Polski”. Prof. Piczeta przygotowuje do druku dwutomową „Historię Polski”. Moskiewski miesięcznik „Słowianie” drukuje w Nr. 6/45 artykuł Aleksandra Juszkiewicza „Dwa lata pracy związku patriotów polskich w ZSRR”. Ryszard Radwiłowicz daje treściwą notatkę „Renesans polskiej kultury narodowej”.

Kompozytor Wasilenko ukończył „Rapsod Słowiański” przeznaczony dla wielkiej orkiestry symfonicznej. W „Rapsodzie Słowiańskiej” przez kompozytora zostały wykorzystane również polskie motywy ludowe. Rapsod zostanie po raz pierwszy wykonany w rocznicę rewolucji październikowej w Moskiewskim Konserwatorium Muzycznym.

Stawropolska Biblioteka Narodowa posiada wśród swych zbiorów „Białego kuka” — Hiade Homera wydana w roku 1509. Książka ta, która obecnie liczy 436 lat, jest unikatem.

W Moskiewskim Teatrze Aktora odbędzie się wkrótce premiera nowej sztuki scenicznej N. Rybaka i I. Sawczenko p. t. „Samotł opóźni się o 24 godz.”. Tematyka sztuki — współczesność, współpraca narodów słowiańskich i braterstwo broni.

65 koncert muzyki polskiej odbył się przed mikrofonem moskiewskiej rozgłośni radiowej. W koncercie wzięli udział prof. S. Fejnberg, Karsow oraz kwartet imienia Bełthovena. Były wykonane utwory Moniuszki, Stańkowskiego, Chopina, Karłowicza, Szymanowskiego, Frydmana oraz polskie pieśni ludowe. (P. J.)

realnie największy wzrost cechuje republikę kazachską w Azji; wśród jej aspirantów wybija się szereg kobiet, podobnie jak w republice Tadżik, wszystkie tuziemczego pochodzenia. Ustaliły się rodzaje aspirantury w r. 1940: doktorska i kandydacka, z odwołaniem od pracy zawodowej i z pozostałymi przy niej. Wymagania naukowe ulegają stopniowemu podwyższaniu, m. in. kończący doktoranturę obowiązani są do znajomości trzech obcych języków zachodnioeuropejskich. Praca nad kadrami naukowymi Ak. N. dała w rezultacie wielu pionierów, nowatorów nauki i techniki. N. G.

ROZMAITOSCI

Wschód i zachód

Niedawno dostalem się przypadkowo do wielkiej i ciemnej sali w pewnym miesie, którego nie wymienia, bo zaraz się na Krupniczej 22 obraży, zebrał się tam kwiat intelektualistów, oddział Towarzystwa Przyjaźni Polska - Francuskiej, pewien profesor uniwersytetu przemawiał. Profesor, mądry demokrat, jak mi go określono po cichu, przez dłuższy czas wywodził, że Polskę i Francję łączy obecnie wielkie zadanie obrony kultury kontynentalnej przed zalewem kultury trzech potęg militarnych: Rosji, Anglii, Ameryki. Po tych wywodach wszyscy się spokojnie rozeszli, widocznie przyzwyczaili się nie brać przemówień intelektualistów na serio. Wyśzedłem z tej sali przerażony ogromem zadania, które spadło na barki Francuzów północy i przysnił mi się straszny sen, Aleksander Siergiejewicz Puszkina zgilotynował o jego mistrza André Chénier. Nowelista Katarzyna Mansfield zmówiła się ze swoim nauczycielem Czechowem i oboje porwali Maupassanta w charakterze zakładnika. Z Richmondu przybył z transportem UNRRA zapijaczony Poe i za karę, że zmieniono mu w przedkładzie wiersza na prozę, zmienił Baudelaire'a w diala myśz deliryczna. Na spadochronie spuścił się brodaty patriarcha Walt Whitman, aby zniszczyć, jak zwykle, wytworze manieri poezji francuskiej prostackimi odami do ludów Europy. Tolstoj kazal wycofać wszystkie swoje wpływy z Francji i pogodził się z geniuszem Szekspira, który to barbarzyński i śmiechowy Angielezki urządził najazd na klasyczny dramat francuski, a zaprzyjaciłony z tymi dwoma niszczycielami Charlie Chaplin, udając zegarmistrza, rozłożył mózg któregoś z naszych profesorów, przerzucił zwoje i obwieszył melancholicznie, że nie da się naprawić. Agresja trzech mowców na kulturę francuską (i naszą) szalała w najlepsze, desanty, czołgi, katusze, śmiech przejmujący rozlegał się z Norwimbergi. To statni rzecznik kultury kontynentalnej Baldur von Schirach parskal z uciechy, która po niemiecku nazywa się Schadenfreude, bo przecież on to niebezpieczeństwo przewidział.

Baldur von Schirach na ławie oskarżonych, Goebbelsa niema, tyle że wiadomo z geografii, jak się mają podzielić rolami ostatni mohlant kontynentalnej kultury. Z Shelleyem i Whitmanem muszą sobie Francuzi sami poradzić, mi już wzmieniemy na swoje barki Maksyma Gorkiego.

Nie wzywajmy rzeczy w bawelno. Nie obchodzi naszego inteligenta, czy Mister Bahelit zarazi swoją filozofią profesorów z Collège de France. Nie przerażają go ani bajki Walta Disneya ani szabrownicy z pod czterdziestu ośmiu gwiazd. Nasz inteligent nie boi się skrzących rytmicznie butów Kiplinga. Widma kultury angielskiej i amerykańskiej

zjawiają się w jawnych rozmowaniach jak dwie przyzwolki przydzielone do towarzystwa Aleksandra Siergiejewicza Puszkina. Ten — ci jest groźny duch stepów idący na Europę!

Przypominam sobie z czasów pobytu w Rosji, jak do pokoju, gdzie grupa Polaków układała się na nocleg, zastukała młodzieńca uroczą Włoszka, wychowana w Moskwie, aby podzielić się z nami nowiną z frontu. Na zażywanie, kto tam, odpowiedziała: Puszkina. Nie wiem, skąd pochodzi wśród inteligencji rosyjskiej ten żartobliwy sposób straszenia dzieci wnuków murzyna. Wśród naszej inteligencji strachy na Francję i Lachy mają charakter ponurych zabobonów.

Wole, kiedy to samo mówi się po prostu. — Wole, kiedy kto powtarza od świtu do wieczora: zachodu, zachodowi, zachodem... Ten jest przynajmniej au courant. Bo intelektualista Baldur von Schirach będzie wisiał, ale są politycy, bankierzy i sędziowie, którzy pracują nad utworzeniem „bloku zachodniego“.

Tak się już złożyło, że Francja stała się u nas bohaterka mitu kultury zachodniej. Na miłości do Francji można wygrypać trale roz maite, miłość miłości nie równa. Boy kochał Bakzala i wielu innych pisarzy, ale nie wielbił ślepo każdej kropelki wody w Selwanię. Miał określone upodobania, cenil nurt racjonalistyczny, moralny. Nie chwalił sobie Francuzów religijnych, nie miał przekonania do naturalistów, nie wszystkich romantyków spozstrzegal. Inni mają nabożeństwo do Peguy i Claudela. Są jeszcze inni, co ze śmiertelną powagą dłużyć w każdej igroszce francuskiego espritu i wodzą się po dziesięćset Lodzi z „Elektra“ Giraudoux jak ze kwietym elektrolusem.

Ale plonąć programową miłością do francuskiej kultury wogóle, do całej, całutki, a dorównać ją całej, integralną, zachodnią, nie tykającą, potrafi tylko ten, kto żyje mitem hodowanym na niedowzmacznej intencji politycznej. Wtedy zachód jest po to, aby przeciwstawić go wschodowi. Wtedy miłość do Francji staje się wybiegiem, pseudonimem niechęci do wszystkiego, co rosyjskie. Mit zachodu jest jak medalion: na odwrotnej stronie wypyto raz na wieki mit wschodu, dzieła naszych przesądów, ignorancji lat międzywojennych, niejednej zadawnionej urazy nie koniecznie politycznej, ale dla celów politycznych prolongowanej, no i wreszcie naszej śmieśności kulturalnej. Les gentillhommes polonais jeszcze ciągle czuwają na przedmurzu kultury zachodniej, na tym archaicznym, znużającym, zapadłym, umajonym polczywami szachy, którego nikt już od stu lat nie spozstrzeżył ani w kraju Romain Rolanda, ani w ojezynie Carkiego.

ADAM WAŻYK

Nowe książki

Stefan Litauer. Zmierzch Londynu. Warszawa. „Czytelnik”, 1945; str. 53 i 3.

O informacyjnej wartości tej broszury, zawierającej ważny i wielki fragment nieostygłej jeszcze historii wojennej, stanowi przede wszystkim osoba autora. Jako publicysta, zadomowiony na gruncie londyńskim i związany przyjaźnią osobistą z gen. Sikorskim, Litauer stał w centrum wydarzeń polskiego „Londynu”, miał możność poznać jego wierzeh i podszewkę. Broszura powstała, gdy nad tym „Londynem” zapadał zmierzch; dziś rozpostarły się nad nim mroki politycznej nieoświecenia i tylko niekiedy jeszcze rozlega się wśród nich przekorny głos duchów pokutujących.

W przejrzystym i rzeczowym skrócie dał Litauer obraz kolejnych stadium polityki emigracyjnej, która z chwilą śmierci gen. Sikorskiego zaczęła staczać się coraz szybciej ku niżynom bezsensu, rozkładu i degeneracji. Postacie naczelnych osobistości emigracji londyńskiej narysowane zostały żywo i prawdziwie, z umiarem i obiektywizmem. Treżowy i sprawiedliwy sąd autora był tu czynnikiem, umożliwiającym należyty podział światła i cienia.

Ludzie, karmieni przez kilka lat trucizną propagandy niemieckiej, bądź też jednostronnymi i tendencyjnymi informacjami podległej „Londynowi” prasy nielęgajnej, zjawiają w broszurze Litauera obfite źródło wiadomości poważnych, ciekawych, nawet rewelacyjnych. Przy ich czytaniu niejedna łuska spada z oczu, niejedna tajemnica tłumaczy się prosto i dosadnie, a wiele szkodliwych złudzeń przechodzi zaśluzenie w sferę niebytu.

Np. w rozdziale o „Powstaniu warszawskim” czytamy m. in.: „Założenie polityczne całej akcji powstańczej polegało niewątpliwie na tym, aby w chwili wkroczenia Armii Czerwonej i Wojska Polskiego do Warszawy ująć w swoje ręce pełną władzę polityczną w stolicy i nie dopuścić do głosu demokracji... Reż gorzkiej, ale pouczającej prawdy lewicy w tym dobrze uzasadnionym i zwierzym twierdzeniu.

Cały aparat „rządu” londyńskiego nastawiony był w istocie przeciw Związkiwi Radzieckim i demokracji polskiej. Odmienne próby i wysiłki tych, co jak Sikorski umieli myśleć głębiej i patrzeć dalej, były systematycznie ha-

mowane i sabotowane przez zwarta klika reakcyjną. I tak się to wlokło aż do żalostnego końca poprzez bezprzekładne ofiary i cierpienia kraju, z którego prawdziwą wolą nie chciano i nie umiano się liczyć.

(bd)

Materiały do dziejów powstania warszawskiego. I. W oczach Londynu. Napisał kpt. Zygmunt Oranowski, Łódź, „Czytelnik” 1945, str. 40.

Wiemy już dzisiaj wszyscy, że powstanie warszawskie nie było przygotowane ani pod względem politycznym, ani pod względem wojskowym. — albo, mówiąc ścisłej, było przygotowane w taki sposób, że musiano nieuchronnie zakończyć się katastrofą.

Cytując rozkazy i instrukcje sztabu londyńskiego oraz wyjątki z jego korespondencji z władzami brytyjskimi, autor broszury przytacza takie np. fakty i okoliczności: Zgodnie z naczelnym hasłem gen. Sosnkowskiego co do „bezwzględnej walki z Rosją”, sztab londyński wydał rozkaz podległym oddziałom w kraju, aby „na wypadek wkroczenia wojsk Armii Czerwonej w granice Polski, dowódcy Armii Krajowej zastosowali te same zasady jak do nieprzyjaciela...”. Gdy pozbawiony poczucia rzeczywistości sztab londyński zażądał dla poparcia akcji zbrojnej w kraju... 3500 samolotów, dowództwo brytyjskich sił lotniczych zadeklarowało na ten cel 4 aparaty. Prośbę o dostarczenie medykamentów zredagowano w sposób tak niedołężny, że brytyjskie Ministerstwo Spraw Wojskowych zwróciło zamówienie z dopiskiem, że „nie rozumie tego zapotrzebowania i nie wie, czy to dla kobiet w pologu, czy dla żołnierzy“.

Trudno się dziwić gorzkiej i rzadliwej ironii autora, gdy pisze o sprawach tego rodzaju. Trudno się dziwić i z tego powodu, że autor z chwilą gdy zaczął protestować przeciwko ignorancji i niedołęstwu swych zwierzchników, został, jako „komunista” aresztowany i uwięziony przez „londyńską” żandarmerię wojskową. Takie metody walki z niewygodnymi ludźmi również świadczą wymownie o „rozładku politycznym” i szczególnych obyczajach ex-wodzirejów „Londynu“.

(bd)

Biblioteka lygodńska „Wies” — Nr 1, Ciepłska reforma rolna — „Czytelnik” 1945, str. 61

Kronika ekonomiczna

(i) Przegląd ogłoszony przez departament rolnictwa USA wykazuje stan światowej produkcji środków żywnościowych: roślinnych i hodowlanych w r. 1944, w zestawieniu z poziomem roku poprzedniego i lat przedwojennych w rozmaitych częściach kuli ziemskiej. Na ogół produkcja ta uległa drobnym zmianom, w porównaniu z rokiem 1943, ale w położeniu różnych krajów zachodziły znaczne różnice. Na stan produkcji wpływ miały nie tylko warunki przyrodzone, lecz również wojna, zniszczenie stad wynikające, brak rąk roboczych itp., warunki które wywoływały obniżenie produkcji, z drugiej strony zwiększenie terenów branych pod uprawę, powodowało jej wzmocnienie.

2. Na odbudowę gospodarstwa narodowego Francji hamującym działem niedostateczne zaopatrzenie w węgiel. W czasie wojny skurczyło się wydobycie węgla z powodu braku rąk roboczych, zwłaszcza robotników obcych (Polaków), zmniejszenia wydajności pracy; przerwany został import węgla obcego. Zaopatrzenie w r. 1945 w porównaniu z r. 1938 zmniejszyło się więcej niż o połowę, ucierpiał na tym szczególnie przemysł, transport i opał domowy.

3. Rząd Tymczasowy francuski przeprowadził w listopadzie 1944 roku unarodowienie kopalń węgla w dep. Nord i Pas de Calais, wyłącznie „w interesie narodu”. Przed wojną kopalnie te dostarczały węgla ok. 63 proc. całego wydobycia.

4. Eksport w Anglii w okresie wojny (1938—1943) skurczył się więcej niż o połowę co do wartości a pod względem objętości przeszło trzykrotnie. Eksport węgla zmniejszył się 10-krotnie, podobnie eksport surowców w ogóle. Wywóz produktów z żelaza i stali skurczył się 10-krotnie, wyrobów bawełnianych i wełnianych trzykrotnie. Pod względem geograficznego rozmieszczenia wywozu, połowa strat wypadła na rynki europejskie, z którymi kontakt został zerwany z powodu wojny.

Silny spadek cechuje również eksport do krajów brytyjskich, wywóz do Indii i Egiptu zmniejszył się do połowy, zachowany został na pomysłnym dla Anglii poziomie tylko eksport do Kanady (przewyższył nawet stan przedwojenny) i do USA. Anglia stoi obecnie przed trudnym zadaniem powrotu do stanu przedwojennego, tym ważniejszym, że poniosła znaczne straty w zakresie dochodu od inwestycji zagranicznych. Udział eksportu w dochodzie narodowym Anglii obniżył się z 10,2 proc. w r. 1938 do 2,8 proc. w r. 1943. Trudności wreszta na skutek silniejszej konkurencji USA na tych rynkach, gdzie Stany wzmocniły swą pozycję w czasie wojny, na skutek wzmoczonego uprzedmiotwienia dominacji angielskich (Australia — produkcja wełniana na własnym surowcu pokrywa wewnętrzne zapotrzebowanie a nawet daje nadwyżki na eksport, Kanada — budowa maszyn i przemysł chemiczny) i innych krajów, które stanowiły podstawowe rynki i dla towarów angielskich

(Szwecja, Turcja Szwajcaria, Portugalia — przemysł tekstylny). Usunięcie konkurencji Niemiec zwiększa pojemność rynku europejskiego (układy już zawarte z Belgią, Szwajcarią, Szwecją, Francją), ale ruina gospodarcza krajów okupowanych w czasie wojny, obniżony poziom życia w krajach neutralnych stwarzają dla eksportu angielskiego większe trudności niż po pierwszej wojnie światowej.

5. Powojenne perspektywy kauczuku syntetycznego w USA.

W czasie wojny w USA powstała nowa gałąź przemysłu, produkcja kauczuku syntetycznego, która może zastąpić wszystkie światowe przedwojenne źródła kauczuku naturalnego. USA zużytkowały 2/3 produkcji światowej kauczuku, którego import stanowił 12—13 proc. ogólnego przywozu, dlatego nowa produkcja amerykańska odbija się mocno na losach plantacji Dalekiego Wschodu (95 proc. ogólnej produkcji). Kapitał, wprowadzony do przemysłu kauczukowego, w 90 proc. przypada na państwo, towarzystwa prywatne, zarządzające przedsiębiorstwami, nie uzyskali prawa ich wykupu po wojnie. Plantacje kauczuku Dalekiego Wschodu, w 90 proc. znajdujące się na terenach okupowanych przez Japonię, obecnie zniszczone przez wojnę, do poziomu przedwojennego mogą powrócić za rok, poczem nastąpi stopniowy wzrost produkcji, podczas gdy zapotrzebowanie kauczuku ulegać będzie stopniowemu obniżaniu. W tych warunkach rozwinąć się będzie musiła silna konkurencja między kauczukiem naturalnym (niskie płace robotników kolonialnych) i syntetycznym, którego wyrób stanie wobec groźby nadprodukcji i obniżenia kosztów produkcji. Rząd USA, który znalazł się na początku wojny w katastrofalnym położeniu w zakresie produkcji kauczuku, nie dopuścił po wojnie do dawnej zależności od jego przywozu, poszczególne grupy społeczeństwa (farmerzy, udziałowcy zakładów przeróbki ropy) zainteresowane są w utrzymaniu krajowej produkcji kauczuku, stąd wnosić należy, że w ostrej walce konkurencyjnej w dostarczaniu najwęższego materiału wojennego utrzyma się obok naturalnego produkcja kauczuku syntetycznego.

N. G.

WĘGIEL

Przed nami leży „Komunikat Nr 5 Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego”.

Cała Polska czeka na te komunikaty. Rozumujemy, że one mówią nam o przyszłości naszej waluty, o naszych możliwościach importowych, o tym, czy będziemy mieli za co sprowadzić potrzebne urządzenia inwestycyjne itd.

Poezja cyfr nie dla każdego jest zrozumiała. O niej trzeba by kiedys pomówić. Chwilowo podamy tylko kilka faktów z komunikatu.

Plan państwowy na wrzesień wykonany został w 109,2% przy czym osiągnięcia poszczególnych Zjednoczeń dochodzą do 139,8%, a poszczególnych kopalń do 176,8 proc.

Wydajność dzienna wzrosła w porównaniu z sierpniem do 106%, a w porównaniu z lipcem do 116%. Wydajność robotnika wzrosła w porównaniu z sierpniem do 104%, a w niektórych Zjednoczeniach nawet do 115%. Rzecz najbardziej zastanawiająca, że dzienna wydajność robotnika według tych nielicznych danych, jakie zawiera Komunikat, waha się od 0,553 t. do 1,341 t. Niestety Komunikat nie dostarcza podstawy do interpretacji tych liczb. Rzecz jasna muszą być one w pierwszym rzędzie odbiciem stanu urządzeń technicznych poszczególnych kopalń. Dużą jednak w nich rolę gra napewno i istotna różnica wysiłku i efektywności pracy w poszczególnych ze spółach. Mamy nadzieję, że przyszłe Komunikaty rzucą na tę sprawę jakieś światło. Porównując wyniki zakładów, mogących być porównanymi ze względów technicznych — dostarczą bodźca zapożyczone. Stają się wjeżdżają naprawdę komunikatami z frontu ogłoszonej przez min. Minca walki o zwiększenie wydajności pracy.

Dużo interesujących danych podaje dalej Komunikat o pracy świetlic, kolonii, i półkolonii, przedszkoli, ośrodków opieki nad matką i dzieckiem, żłobków, o wczasach i wywczasach, wreszcie o szkołach. Jesteśmy chyba najlasi od niedoceniania wagi tych działań pracy Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego. Ale, przynajmniej musimy do niepokoju: dlaczego w komunikacie dane o produkcji zajmują 3 (trzy) strony, gdy dane o pracy kulturalnej, wychowawczej i opiekuńczej aż 14 (czternaście)? Czy nie ma tu pewnej dysproporcji? Dlaczego natomiast nie ma w komunikacie danych o płacach, o ilości wypadków przy pracy, o opuszczonych dniówkach, działalności opieki lekarskiej i wielu innych podobnych?

Komunikat jest bardzo ciekawy. Mamy nadzieję, że następane będą jeszcze bogatsze i ciekawsze. Nie lekajmy się podawania nawet i mniej korzystnych danych. Demokracja prawdy się nie boi. Zalew słów mamy już dosyć. Liczb nam wciąż mało.

Witold Kula

OSTRZEŻENIE

Doszło do naszej wiadomości, że pojawili się spekulanci, którzy nabywają wydaną przez nas powieść Sienkiewicza „Kryzysy” w cenie katalogowej zł 120 i sprzedają ją nieznaną ceną po kilkadziesiąt złotych.

Ostrzegamy przed nabywaniem tej książki w cenie, przekraczającej katalogową i prosimy o pociąganie do odpowiedzialności nieuczciwych sprzedawców.

Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”
Centralny Wyd. Księgarski
Łódź, Piotrkowska Nr 147,
tel. 126-65

Przegląd prasy

„Odrodzenie” Nr 47 przynosi niezmiernie interesujący raport Józefa Sieradzkiego „Z każdym światem umierałmy”, poraż jest poświęcony akcji Gestapo, przeprowadzonej w nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku w stosunku do przedstawicieli inteligencji polskiej we Lwowie.

Sytuacja polityczna na emigracji znana już jest w kraju dostatecznie z broszur i artykułów w prasie (m. in. reportaże Ksawerego Pruszyńskiego w „Odrodzeniu”, które uzupełniają się wzajemnie, stworzyły mniej więcej pełny obraz emigracyjnej rzeczywistości. Artykuł Zbigniewa Bieńkowskiego („Odrodzenie” Nr 47) „Rzecz dzieła się w kraju” jest próbą przedstawienia sytuacji w kraju, pod okupacją. Bieńkowski wskazuje na rozkładową rolę sanacji, przenikającej do poszczególnych partii politycznych i podporządkowującej je swoim celom politycznym, częstokroć wbrew interesom rządu Sikorskiego. Artykuł Bieńkowskiego i reportaże Pruszyńskiego uzupełniają się w pewnym sensie, dając wizerunek politycznych ugrupowań.

Mieczysław Wionczek („Odrodzenie” Nr 48) analizuje sprawę współpracy polsko-radzieckiej („Rozumna przyjaźń”). Wionczek sięga w swym artykule do września 59 roku, nie ukrywając bynajmniej przed czytelnikiem, że między wrześniem 59 roku i umową Sikorski-Stalin miały miejsce „bolesne dla społeczeństwa polskiego zarządzenia: internowanie armii polskiej za Bugiem i deportowanie pewnej części Polaków za Bugiem”. Wionczek stwierdza, że wydarzenia te były konsekwencją wrogiej wobec ZSRR polityki zagranicznej Polski przedwojennej, która w całej pokładala swe nadzieje w antyradzieckich i monarchistycznych nastrojach panujących na Zachodzie. W dalszym ciągu artykułu Wionczek m. in. omawia sprawę różnic w interpretowaniu pojęcia „demokracja”: Anglicy prawo do udziału w rządach chcą przyznać wszystkim „naso” faszystami sensu stricte. Związek Radziecki, mając w pamięci lata 1939-1945, zwraca zwrócenia wobec elementów politycznych, gotowych znów do osunięcia się w „czasach pogardy”.

W tym samym numerze „Odrodzenia” Kazimierz Brandys publikuje fragment świetnej prozy („Pożegnania z ojcem”), jest to wyjątek z powieści „Drewniany koł”.

Obszerna recenzja z nowego, podjętego przez Spółkę. Wyd. „Czytelnik” wydania „Kryżaków” z pamiętnikami Józefa Sieradzkiego („Kryżacy, wiecznie Kryżacy”). Recenzja stwierdza niewątpliwą tendencjonalność powieści, atakując dawne sądy o „Kryżakach”, w których krytyka nie chciała dojrzeć „polityki”, wreszcie podaje w skrócie historię wzmagającej się w latach 1897-1900 ofensywy „Herrenvolku” przeciwko Polakom w zaborze pruskim i łączy gęsnie „Kryżaków” z konkretnymi przejawami antypolskiej polityki rządu pruskiego, Sieradzki wielką ilością cytuje z samej powieści potwierdzając swoje tezy o jej polityczności, o tym, że książka jest odpowiedzią na germanizacyjne zakusy pruskiej polityki.

Sprawa literatury chłopskiej (szeroko omawiana na łamach pisma „Wieś” zwłaszcza w artykułach J. A. Króla, który w trzech kolejnych numerach tego pisma antyhistorycznymi argumentami udowadniał konieczność zerwania ze „szkodliwą, ziemianką tradycją” poezji Kochanowskiego, Kasprzowicza, Kołopnickiej i t. d., proponując w zamian za to mało przekonany wujące z punktu widzenia dotychczasowej praktyki, recepty na „prawdziwą poezję chłopską”, doczekała się wreszcie spokojnego i trzeźwego ujęcia w artykule St. R. Dobrowolskiego „Na chłopskie tematy” w dodatku tygodniowym do warszawskiego „Głosu Ludu” z dn. 28 października 1945 r. Dobrowolski, reasumując dotychczasowe stanowiska w tej sprawie (Wajtko w „Kuźnicy” i Król w „Wsi”) stwierdza, że „Pobudzenie ruchu literackiego w środowisku chłopskim — to... rekrutacja z milionowych mas ludowych w Polsce ludzi utalentowanych... to... wielka praca, mierząca do włączenia milionowych dotychczas kulturalnie zacofanych mas chłopskich w orbitę powszechnego, ogólnonarodowego ruchu kulturalnego, ruchu artystycznego, ruchu literackiego”. I zaraz potem mówi autor artykułu: „Takie stanowisko z góry wyklucza dążenie do jakiegokolwiek kulturowania dzisiaj odrębności chłopskich”. Dotychczasowa praktyka „Wsi” nie potwierdza jednakże tych słusznych przypuszczeń Dobrowolskiego, który kończy swój artykuł stwierdzeniem, że udział pisarzy rekrutujących się z warstw ludowych wnieśli niewątpliwie wiele cennego w nasze ogólnonarodowe piśmiennictwo. Było to jednakże stało, „literatura chłopska” (cudzołówna autora) musi sama wyjść z intelektualnych opłotków, pociągając jednocześnie wieś, musi wreszcie stać się „literaturą bez przyimka”, wejść z równowartościowym wkładem w ogólnonarodowe i ogólnoludzkie piśmiennictwo.”

ZADAMY ODPOWIEDZI

W 6 numerze „Kuźnicy” wolano: „Reforma szkolna pogrzebana”. Myślałem, że to przesada.

Tymczasem w nr. 1 „Chłopskiego Sztandaru” (naczelnego organu PSL-u) czytamy artykuł osoby zdawałoby się, że kompetentnej (Czesław Wycech), który zaniepokoić może nie na żarty.

W pierwszej części artykułu dowiadujemy się o pracach i wynikach prac Komisji Oświatowej Ruchu Ludowego w okresie konspiracyjnym. B. ciekawe.

Natomiast w drugiej części słyszymy o pracach realizacyjnych Ministerstwa Oświaty i jakby pośrednio, między wierszami, zostajemy poinformowani, iż Ministerstwo to realizuje właśnie ów, uprzednio zreferowany program.

Rzecz nie jest postawiona wyraźnie. Można rozumieć jak kto chce. Czytelnik dobrej woli wyczytałby może, że program Ministerstwa jest całkiem zgodny z programem, opracowanym przez ową Komisję Oświatową. W takim razie jednak zaniepokojenie nasze rośnie: bo od programu, który został podany do wiadomości społeczeństwu na łódzkim Zjeździe Oświatowym program Polskiego Stronnictwa Ludowego różni się dość znacznie.

Nie przesadzamy tu bynajmniej, który z nich jest lepszy.

Żądamy natomiast wyraźnej i wyczerpującej odpowiedzi na pytania:

Jaki program reformy szkolnictwa realizuje obecnie Ministerstwo Oświaty?

Jeżeli od programu, przedstawionego na Zjeździe Oświatowym odstąpiono — to dlaczego społeczeństwo o tym nie zostało powiadomione?

Jak i kiedy sfery, związane ze szkolnictwem, przede wszystkim nauczycielstwo polskie, zostaną poinformowane o aktualnym stanie prac nad reformą szkolną? W. K.

DOBRAŃE TOWARZYSTWO

Słyszeliśmy wiele o tym, że Akademia Umiejętności powołała do swego grona osoby, których poziom moralny nie cieszy się w naszym społeczeństwie dobrą opinią. Mniej już słyszeliśmy o tym, że Uniwersytet Jagielloński przedstawił prof. Młynarskiego Ministerstwu Oświaty jako kandydata na katedrę! Tu chcielibyśmy przypomnieć jeszcze jeden fakt z tej samej serii.

Mianowicie senat Uniwersytetu Warszawskiego wybrał na stanowisko rektora... prof. Antoniewicza. Prof. Antoniewicz zaszczytu nie przyjął. Ciekawe, dlaczego? Czy motywem nie była tu obawa przed dostaniem się na świecznik i obudzeniem śpiącego licha? Ale to nie ważne.

Natomiast faktem ważnym jest ów wolny nieskrepowany wybór. Wiem coś nie coś o prof. Antoniewiczu. Wiem, że bardzo pragnął współpracować z Ost-Institutem — a odstąpił od swoich planów dopiero w skutku presji kolegów z rektorem Pieńkowskim na czele. Ale jeżeli nawet tego karte z czasów okupacyjnych uznać za czystą — to przecież zawsze w oczach polskiej opinii demokratycznej zostanie on człowiekiem odpowiedzialnym za wprowadzenie getta lawkowego w Warszawskim Uniwersytecie. A tak łatwo, za cenę rezygnacji z godności rektorskiej, mógł on wtedy zachować dobre imię!

Nie ważny jest prof. Antoniewicz. Ale ważny jest fakt, że w stołecznym uniwersytecie opinia naukowa tego człowieka szanuje i na swego przodownika wsuwa.

Doprawdy, wszystkie te akty zakrawają na prowokację.

S. K. R.

I. K. P.

Był kiedyś taki przepis Norwida na „powieść warszawską”. Widocznie w starych ksiągkach kucharskich istnieje przepis na dziennik kulturalny, bo oto jak feniks z popiołów wraca do nas po latach „Ilustrowany Kurier Polski”. Zewnętrznie: jakby skórę zdarto z pokrewnego „IKC”. W środku. W środku (cytuje tylko wg. numeru z dnia 29 października 1945 roku, który nabyłem dnia 28 października 1945 roku w Łodzi, biorąc pod uwagę, że pismo wychodzi w Bydgoszczy, jest ono wzorem krakowskiego Kurierka postdatowane), czytamy o ciężkiej chorobie Wincentego Witosa. Do smutnej tej wzmianki według której „Lekarze nastrojeni są pesymistycznie” dołączono wesołą karykaturę tegoż Witosa. Przykre, jak na pierwszą kolumnę... I nikt w „I. K. P.”! W depeszy „List Trumana do Stałpa” z zainteresowaniem czytamy, że ambasador Harriman oddał list Trumana Generałissimusowi Stalinowi w miejscowości, Sacha. Przyjmując Redakcji niedawna „Nowa Finlandia” proponuję zaopatrzyć się w po-

radny atlas geograficzny, gdzie można sprawdzić, że Sacha, to po prostu Sochi. Prawdziwym przerażeniem napelnia dodatek „Kultura i sztuka”, gdzie skupiono artykuł „Chleb dla duszy” i poemat p. Turwida „Malowana snami”.

Miła jest również notatka p. t. „Ilustrowany Kurier Polski” jako dowód rzeczowy. Spo dziewałem się znaleźć tam coś bardziej pikantnego, okazało się, że w procesie rehabilitacyjnym volksdeutscha drugiej grupy, artykuły IKP pomogły w rehabilitacji, wskazując jakich metod chwytali się Niemcy, by zmusić Polaków do przyjęcia tej lub innej grupy.

Jeśli ktoś chce mieć pełne złudzenie przedwojenne, niech nabędzie wieczorem numer IKP, przeczyta uważnie i usnie. Nad ranem, tak jak niegdyś po przeczytaniu IKC poczuje niesmak w ustach. Porzucony w dość dużej odległości od łóżka, np. na środku pokoju numer IKP zwłaszcza otwarty na tytułowej stronie, sprawi, że gdy wzrok nasz padnie na to pismo, to w połączeniu z wrażeniami smakowymi uzyskamy pełne złudzenie dawnego poczyjnego Kurierka.

WALKA ZE SMOKAMI

Przy Związku Zawodowym Literatów Polskich zorganizowano na prawach oddziałów lokalnych oddział wiejski, który skupia literatów rozproszonych na terenie wiejskim i literatów z terenem tym związanych. Dodatkowym zadaniem tego oddziału będzie uświadamianie czytelników wiejskich w sprawach literackich, popieranie piśmiennictwa wśród chłopów, opieka nad młodymi talentami z terenu wiejskiego. Zdawałoby się, że wszystko jest jasne i proste: że czas byłoby uczyć w tygodniku „Wieś” szalony żywioł spodu o stosunki wzajemne między ZZLP a pisarzami chłopskimi, zarzucić walkę z bajecznymi smokami lewicy, prowadzona od wielu tygodni. Ale nie, Zygmunta Kalużyński („Wieś” Nr 14) omawiając ideologię uniwersytetów ludowych, nie pominął okazji. Chciałby nas przekonać, że utworzenie oddziału wiejskiego oznacza tryumf separatyzmu kultury chłopskiej. Pozwolę sobie przytoczyć pikantną konkluzję:

„A jednak udało się przekonać kogo należy, i Oddział Wiejski przy Zw. Lit. stał się faktem, — mimo tego lewica nie jest zadowolona, czego dowodem atak na tygodnik „Wieś” wydrukowany w tygodniku „Kuźnica” pt. „Mitolodzy wsi”.

Nieladnie, kolego Zygmuncie... Wspomniany felieton w „Kuźnicy” nie był atakiem na „Wieś”, ale na pewne określone tendencje, które „Wieś” ukazuje jako zwiędziadło obok innych, odmiennych. Ale co ma piernik do wiatraka, co ma wspólnego oddział wiejski z bajecznym smokiem z „Kuźnicy”? Owszem, tyle ma wspólnego, że jak doskonały Zygmunto-wi Kalużyńskiemu wiadomo, utworzenie oddziału wiejskiego proponował właśnie autor tego felietonu. I chciałby wierzyć, że sympatyczny kolega Kalużyński nie koloruje umyslnie, ale że poprostu coś mu się poplątało.

awk

HISTORIA PEWNEGO OBRAZU

W tygodniku „Niedziela” (Nr 26) znajdujemy następującą — całkiem niezwykłą — historię pewnego obrazu:

„Na rok przed wybuchem wojny, 5 października 1938 r. zmarła w Zakładzie Zegromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia w Łagiewnikach pod Krakowem siostra Faustyna... Na kilka lat przed śmiercią ukazał się siostrze Faustynie sam Chrystus. W długich rozmowach mówił młodej siostrze o straszliwej wojnie, która już wisi nad światem... Plakała gorzko siostra Faustyna, przeżywała to wszystko, co miał potem przeżyć nasz kraj... I aby potrzebę pamiętania o Miłosierdziu bardziej stawić człowiekowi dzisiejszemu przed oczy, podsyntował Chrystus siostrze Faustynie nowe modlitwy oraz kazał jej namalować obraz przedstawiający Boże Miłosierdzie. Siostra Faustyna nie umiała malować. Plakała, prosiła Jezusa, aby jej nie kazał robić tego, czego zrobić nie potrafi. Wtedy Jezus pozwolił, by obraz malował artysta-malarz, którego s. Faustynie wskazał spowiednik. Tak się też stało. W 1934 roku w Wilnie namalował obraz artysta Kazimierzowski”.

Sprawa obrazu, powstałego w okolicznościach tak nadzwyczajnych, powinien się zająć Zw. Plastyków Polskich. Na razie historia ta znana jest tylko w Częstochowie, tam bowiem wychodzi tygodnik katolicki „Niedziela”.

(d)

KWESTIA WARSZAWSKA

— Niestety, proszę pana, kwestia warszawska istnieje i powiedziałbym nawet, że jest bardzo paląca. Warszawiacy wnieśli się w nasze społeczeństwo, zajmując nasze stanowiska, spychają nas wszędzie na drugi plan. Tam, gdzie nasz nie da sobie rady, przyjdzie warszawiak ze swoim sprytem, ze swoim cwaniactwem, kręctwem — oni to nazywają zdolnościami handlowymi! A w dziennikarstwie? Zawładnęli, proszę pana, naszą kulturą i wszędzie sięja swoje warszawskie miązmaty. A teatr? To ma być łódzki teatr? W jednym Romanówna, w drugim Stefia Górska, w trzecim Cwiklińska (udaje że z Krakowa, ale my się na tym znamy, żadne ukrywanie swego pochodzenia nie pomoże, warszawiaka poznamy na trzy kilometry!) Nie widzę innej rady, trzeba będzie w piśmie „D.E.F.” umieszczać kolejno listy nazwisk aktorów i literatów pochodzenia warszawskiego. Demaskować tych, którzy wprowadzają obce elementy do naszej kultury. Nie twierdzą, że należy ich zabijać. Cóż, ostatecznie warszawiacy też są ludźmi. Natomiast walka ekonomiczna owszem, Najlepiej niech wracają do Warszawy. Będą tam u siebie, między sobą.

— Ale nie pomieszczą się... Domy zburzone...

— Już o to jak się pomieścić, niech oni się martwią. Nie potrafią się zasymilować, proszę pana, to niech wracają do siebie. Wzrok łodzianina, proszę pana, nie może się przyzwyczaić do ich odrębności. Chociażby te ich stroje... te letnie płaszcze zimą, te sportowe marynarki do sztucznych spodni... Zegarków nie mają, pościeli nie mają, ostatecznie mogliby odstąpić od tych zacofanych tradycji.

— Ale oni najbardziej ucierpieli od Niemców.

— Trudno. Powiedzmy sobie szczerze, że Niemcy kwestii warszawskiej nie rozwiązały całkowicie. A wydawało się...

— Niezupelnie się z panem zgadzam. Może dlatego, że sam jestem warszawianinem.

— Pan? To niemożliwe! W każdym razie przepaszam pana bardzo. Ale nigdybym o panu nie pomyślał... Nie ma pan żadnych cech warszawskich. Właściwie mógłby się pan śmiało nie przyznawać. Pan jest...? Nie mogę uwierzyć! Bardzo mi przykro. Oczywiście to wszystko, co powiedziałem, nie stosuje się do takich warszawiaków, jak pan.

STEFANIA GRÓDZIENSKA

GDZIE JEST PRAWDA?

W artykule pt. „Gdzie jest prawda?” („Niedziela” Nr 26) autor wygłasza takie poglądy: „O ile są liczne społeczeństwa, które mają jednakowy cel, wtenczas już nie różniły, lecz liczbowo różnią się między sobą, tak np. liczne państwa”.

Dodamy od siebie: O ile są liczne państwa, które mają niejednakowy cel, wtenczas już nie liczbowo, lecz tylko rodzajowo różnią się między sobą, tak np. liczne społeczeństwa.

I w taki prosty sposób uchwytiliśmy prawdę za polę.

OŚWIECIM W KAWIARENCE

Oświecim znalazł ze słyszenia. W świetle relacji, które w ciągu wojny docierały do Warszawy. Był to Oświecim tragiczny, pełen grozy, meczeski. Po powrocie z niewoli niemieckiej dowiedziałam się z odczytów w Krakowie, że istniał jeszcze drugi Oświecim — walczący, bojowy. Nie myślałam, że tak szybko pojawi się trzeci Oświecim — gastronomiczny!

Po powstaniu poznałam z bliska różne „lagry”. Najdłużej byłam w F. K. Lacer — Ravensbrueck bei Fuerstenberg in Meklemburg. Widziałam wiele, wiele przeszłam, straciłam w obozach całą rodzinę. Wróciłam z „auslaenderami”.

I oto idąc na Kopiec Kościuski czytalam na kawiarence napis: „Oświecimiaczy na Błoniach”. Takiego Oświecimia nie znalazłam jeszcze.

Handelek wydziergany na tragicznej kanwie, bohaterstwo, męczeństwo, komory gazowe, zapadnie i krematoria — sfinansowane. Można sobie podjąć i popić na tle dekoracji tego tragicznego Oświecimia. I jeszcze wrzucić pieniądze do skarbnki narodowych zasług — wsparcie „dla byłych Oświecimiaczków”.

Znana historyjka. Po roku 1918 na tereny zaiperytowane pod Verdun wtargnęły cukierki, kawiarne i szynki, by garnirując greby bohaterów urozmaicić monotonię wzniosłości. Sprzedawano tam pono, jak czytałam, dewocjonalia patriotyczne przy dźwiękach jazzbandu. Tamto było zakrojone na wielką skalę. Maleńkie rozmiary handlu na Błoniach nie pomniejszają niesmacznego wrażenia. Czy konieczne z każdej rzeczy trzeba ciągnąć zyski?

J. Z. Nr 59710 z Ravensbrueck